CIVITAS CHRISTIANA

Katolickie Stowarzyszenie
Civitas Christiana
Oddział w Nowym Sączu
Okręg Krakowski

ISSN 1232-5910

ALMANACH SĄDECKI

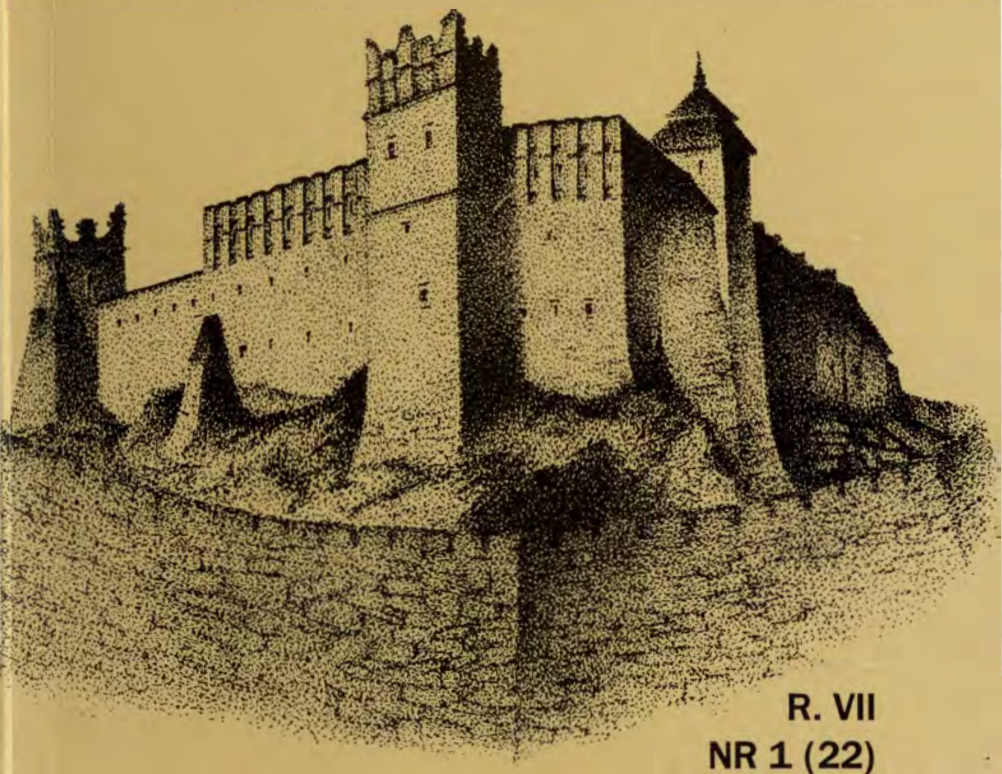

R. VII
NR 1 (22)

INCO-VERITAS Sp. z o.o.

ZAKŁAD PRODUKCJI GALANTERII 34-425 BIAŁY DUNAJEC

tel. (0-18) 20 732 23, 20 660 35, 20 662 88 telex 0325569

Największy w Polsce producent galanterii do pielęgnacji włosów i GOGLI sportowych

OFERUJEMY TAKŻE:

- ramki do zdjęć 24x18, 18x13
- nakrętki w bogatym asortymencie form i kolorów
- podstawki do kaset, płyt, książek, gazet
- druty do robót ręcznych
- grabie ogrodnicze

CIVITAS

CHRISTIANA

Katolickie Stowarzyszenie
Civitas Christiana
Oddział w Nowym Sączu
Okręg Krakowski

ALMANACH SĄDECKI

R. VII NR 1 (22)

BP NS Region

Nowy Sącz 1998

Almanach Sądecki (kwartalnik)
Wydawnictwo Katolickiego Stowarzyszenia
Civitas Christiana w Nowym Sączu
Okręg Krakowski
33-300 Nowy Sącz
ul. Ks. Kard. Stefana Wyszyńskiego 3
tel. (018) 443 81 52

Redakcja: Marek Basiaga
Leszek Migrała — red. naczelny
Stanisław Pażucha

Projekt okładki: Barbara Magierowa

Skład komputerowy: BIKER
Nowy Sącz, tel./fax (018) 442 81 61

Druk: S.C. „BAAD"
Nowy Sącz, ul. Gwardyjska 38, tel. (018) 441 28 25

Akc. 19 r.

Ks. Bolesław Kumor

CHRYSTIANIZACJA DOLINY POPRADU DO KOŃCA XVI WIEKU

Przez chrystianizację rozumiem długofalowy proces głoszenia i recepcji Ewangelii, utrwalanie tego procesu przez stały pobyt kapłana, budowę miejsc kultu religijnego, organizowanie parafii i przenikanie Ewangelii do szerokich warstw życia ludzkiego aż do formowania się kultury chrześcijańskiej w różnych jej aspektach, kontrolę form i treści wiary przez biskupia diecezjalnego. Jako Dolinę Popradu przyjmuję tereny leżące w bezpośrednim sąsiedztwie rzeki Poprad od miasta Poprad na Słowacji aż do ujścia tej rzeki do Dunajca w rejonie Starego Sącza. Dolina ta ciągnie się 155 km. Początkowo bieg rzeki ma wyraźny kierunek południowy, dopiero w rejonie miasta Poprad skręca na południowy wschód i, dzieląc Spisz, płynie między pasmami górskimi Spiską Magurą i Lubovnianską Vrchoviną na północy a Levočkim Pohoriem na południu. W rejonie miasteczka Plaveč rzeka skręca na północ. Na przestrzeni 50 km przecina ona pasmo Karpat w Beskidzie Sądeckim i między Starym Sączem a Biegonicami wpada do Dunajca. Sama rzeka wspomniana jest po raz pierwszy w dokumencie króla węgierskiego **Andrzeja II** w 1209 r., nadającego Spisz prepozytowi kapituły św. Marcina[1].

Pod względem przynależności politycznej granice między Polską a Słowacją — Węgrami przebiegały przez obszar środkowego biegu Popradu, pozostawiając po stronie polskiej miasteczka Podoliniec, Gniazda i Starą Lubowlę. Przynależność tych terenów do Polski stwierdza dokument księcia krakowskiego i sandomierskiego, **Bolesława Wstydliwego**, nadającego 10 marca 1244 r. sołectwo w Podolińcu *„za wierną służbę"* niejakiemu **Henrykowi**, sołtysowi w Podolińcu. Sołectwo to osadzone na surowym korzeniu zostało opuszczone i zarosło ponownie; należało ono prawem dziedziczenia do księcia Bolesława. Jego małżonka, bł. **Kinga**, zaliczała ten

okręg do Sądecczyzny, a 10 lipca 1280 r. nadała Podoliniec na uposażenie klasztoru PP. Klarysek w Starym Sączu[2].

Ziemie te utraciła Polska na rzecz Węgier za panowania króla **Wacława II Czeskiego**, kiedy to magnaci węgierscy zawładnęli częścią południową ziemi sądeckiej i sięgnęli na Przedmagórze do rzeki Białki i Dunajca. Powróciły one do Polski na mocy układu w Lubowli z dnia 15 marca 1412 r. i miały pozostać przy Polsce do 1769 r., kiedy ponownie zagrabiła je cesarzowa **Maria Teresa**[3].

Pod względem kościelnym tereny te zgodnie z przynależnością polityczną należały do archidiecezji ostrzyhomskiej (Poprad, Kežmarok) i do diecezji krakowskiej (Podoliniec, Gniazda, Lubowla). Spory o przynależność okręgu lubowelskiego rozpoczęły się jeszcze w pierwszej połowie XIII wieku. Tak, 7 stycznia 1235 r., w odpowiedzi na skargę biskupa krakowskiego **Wisława z Kościelca** (1229–1242), pap. **Grzegorz IX** listem apostolskim *Venerabilis frater* zlecił przeorowi opactwa cysterskiego w Sulejowie oraz archidiakonowi opolskiemu i kanonikowi wrocławskiemu, **Gotfrydowi**, zbadanie skargi i pretensji biskupa krakowskiego i arcybiskupa ostrzyhomskiego do jurysdykcji kościelnej nad okręgiem lubowelskim[4]. W tej samej sprawie przynaglany przez biskupa krakowskiego, **Prandotę**, zabrał głos papież **Innocenty IV** w liście apostolskim *Episcopus Cracoviensis* (22 stycznia 1247 r.) i później papież **Jan XXII**, który mocą bulli *Exposuit Nobis* (15 czerwca 1324 r.) ukonstytuował sąd apostolski celem rozstrzygnięcia tej sprawy. Wyrok wydany 12 lutego 1332 r. przydzielił tę część Spisza z parafiami w Lubowli, Gniazdach i Podolińcu do diecezji krakowskiej[5].

Prawdopodobnie wyrok nie zyskał uznania ze strony arcybiskupa ostrzyhomskiego, skoro tenże papież listem apostolskim *Sua Nobis dilecti* z dnia 5 maja 1333 r. powierzył dalsze rozpatrzenie sporu opatowi cysterskiemu z Rud Raciborskich i prepozytowi kolegiaty św. Krzyża we Wrocławiu[6]. Egzekucję wyroku przysądzającego jeszcze raz sporne parafie diecezji krakowskiej powierzył papież **Benedykt XII** listem apostolskim *Exposuit Nobis* z 25 stycznia 1342 r. biskupowi wrocławskiemu **Przecławowi z Pogorzeli**, opatowi cysterskiemu z Rud Raciborskich i dziekanowi kolegiaty św. Krzyża w Opolu[7]. Faktycznie tereny sporne wraz z 7 ośrodkami duszpasterskimi przeszły do diecezji krakowskiej dopiero w 1604 r. Od tego bowiem roku datują się pierwsze instytucje kanoniczne na probostwa w okręgu lubowelskim przez biskupów krakowskich. W 1643 r. biskup **Piotr Gembicki** na synodzie diecezjalnym utworzył dla tych parafii osobny dekanat spiski w archidiakonacie sądeckim[8].

Dolina Popradu była kolonizowana z dwóch stron, z północy przez Polskę i z południa przez Słowaków i Niemców saskich. Do końca XII w. osadnictwo w tej dolinie

było bardzo rzadkie z wyjątkiem dolnego spływu Popradu w rejonie Starego Sącza. Dopiero w XIII wieku nastąpiło nasilenie osadnictwa. W słowackiej części doliny źródła z XIII stulecia wymieniają: Poprad (1256 r.), Matejovce (1251 r.), Kežmarok (1251 r.), Spiska Bela (1251 r.), Spiska Sobota (1256 r.), Velká Lomnica (1257 r.), Huncovce (1257 r.), Malý Slavkov (po 1260 r.), Bušovce (po 1260 r.) i Podhorany (po 1260 r.)[9].

Ewangelizację omawianych terenów mógł podjąć tak Kościół obrządku łacińskiego, jak i obrządku wschodniego. Ale nie ma żadnych śladów działalności Kościoła wschodniego do XVI wieku. Chrystianizacja doliny Popradu od strony Słowacji — Węgier szła z południa, a głównym jej nosicielem było arcybiskupstwo ostrzyhomskie, do którego tereny te należały. W tej części doliny najwcześniej powstała parafia św. Antoniego Opata w Spiskiej Beli jako fundacja królów węgierskich (1092 r.), a następnie Matejovce pod wezwaniem św. Stefana Węgierskiego również fundacji królewskiej (1231 r.), Spiska Sobota z kościołem pod wezwaniem św. Jerzego M., prawdopodobnie fundacji królewskiej (1244 r.). Poprad z kościołem św. Idziego Opata fundacji również królewskiej (1245 r.), Huncovce pod wezwaniem św. Krzyża nieznanej bliżej fundacji (1247 r.), Kežmarok z kościołem pod wezwaniem św. Elżbiety, założona przez kolonistów niemieckich (1251 r.), Velká Lomnica z kościołem św. Katarzyny Aleksandryjskiej (1257 r.) i fundacji królewskiej Busovce z kościołem św. Wawrzyńca M. (po 1260 r.)[10] oraz Lubica z kościołem Wniebowzięcia NMP fundacji królewskiej (ok. 1248 r.).

W ujęciu tabelarycznym proces ten ilustruje tabela nr 1, zamieszczona niżej[11].

Tabela nr 1

Chronologia powstawania parafii w Dolinie Popradu w części słowackiej

Lp.	Parafia	Patrocinium	Patronat	Rok fundacji
1.	Bela Spiska	Św. Antoni Opat	Królewski	1092
2.	Matejovce	Św. Stefan Węgier.	Królewski	ok. 1231
3.	Spiska Sobota	Św. Jerzy M.	Królewski	przed 1244
4.	Poprad	Św. Idzi Opat	Królewski	przed 1245
5.	Huncovce	Św. Krzyż	Królewski	ok. 1247
6.	Lubica	Wniebowz. NMP	Królewski	przed 1248
7.	Kežmarok	Św. Elżbieta	Osadn. Niem.	ok. 1251
8.	Velka Lomnica	Św. Katarzyna Al.	Królewski	po 1257
9.	Busowce	Św. Wawrzyniec M.	Królewski	po 1260
10.	Lendak	Św. Mikołaj	Królewski	ok. 1313
11.	Velký Slavkov	Św. Andrzej	Królewski	1422

Chrystianizacja zatem górnej Doliny Popradu rozpoczęła się prawie 100 lat później od oficjalnego przyjęcia chrztu przez Węgry i przynależną do nich Słowację, ale jej pełna recepcja nastąpiła dopiero w latach 1231–1260, kiedy to w tej części Doliny Popradu powstało 10 dalszych parafii. Fundacje te wypełniały przestrzeń Doliny Popradu do Podolińca. Ich charakterystycznym aspektem jest fakt, że były to fundacje królewskie, co potwierdzały patrocinia św. Stefana Węgierskiego i św. Elżbiety Węgierskiej. Wezwania natomiast św. Antoniego Opata i św. Idziego Opata należały do najstarszych na tym terenie.

Od 1522 r. rozpoczęła się tu propaganda protestantyzmu w wydaniu luterańskim, szerzona przez uczniów **Melanchtona**; przyjmowali głównie go Niemcy — Sasi. Protestantyzm przyjął się po 1540 r. w Kežmaroku, Białej Spiskiej (1545 r.), Popradzie (1552 r.), Sobocie Spiskiej (1552 r.) Rekotolicyzację podjął tu dopiero w pierwszej połowie XVII wieku kard. **Piotr Pázmány**, arcybiskup ostrzyhomski i prymas Węgier (1616–1637)[12].

W starostwie spiskim, przynależnym do Polski w 1569 r. wymieniono 13 miast spiskich, które przeszły do Polski w układzie lubowelskim (Nowa Wieś, Podgrodzie, Włochy, Biała, Lubica, Wierzbów, Poprad, Felka, Sobota, Straże, Matiaszowce, Twarożna i Ruskinowce), a nadto w granicach diecezji krakowskiej: Lubowla, Gniazda, Podoliniec — miasta, oraz wsie: Hobgard, Lubowla Stara, Forbas, Drużbaki Wyżne i Drużbaki Niżne, oraz założone na prawie wołoskim i niemieckim: Laczkowa, Kamionka, Szadek, Międzybrodzie, Kacze, Kredzielovka, Zawodzie, Krempachy, Granastaw, Pilchów, Sulin, Mniszek, Litmanowa, Wabnik, Mała Litmanowa i Plavec. Od Plavca z biegiem rzeki Poprad na prawym jej brzegu leżały:Leluchów, Muszyna, Milik, Andrzejówka, Żegiestów, Zubrzyk i Wierchomla Wielka, Łomnica, po obydwóch stronach rzeki Piwniczna, dalej Kokuszka, Młodów, Sucha Struga, Rytro, Wola Krogulecka, Przysietnica, Popowice, Barcice, Żeleźnikowa, Myślec, Stary Sącz i Biegonice[13].

Przypatrzmy się bliżej rozwojowi miast na tym terenie. Najwcześniej prawa miejskie otrzymał w tym rejonie Stary Sącz, który już w 1224 r. był kasztelanią, a 10 lutego 1257 r. otrzymał prawa miejskie, a w 1268 r. został lokowany na prawie magdeburskim[14]. Następną osadą, która otrzymała prawa miejskie był Podoliniec. Wspomniany po raz pierwszy 7 stycznia 1235 r. w liście apostolskim papieża Grzegorza IX *Venerabilis frater* wraz z kościołem „sanctae Mariae" już 30 marca 1244 r. posiadał prawo niemieckie, a przed 8 listopada 1292 r. otrzymał prawa miejskie[15]. W dalszej chronologii prawa miejskie otrzymała Lubowla Stara. Prawdopodobnie jako parafia została wymieniona przez papieża Grzegorza IX w 1235 r. Przed 1293 r. otrzymała prawo niemieckie, a w 1344 r. król **Ludwik Węgierski** nadał osadzie

prawa miejskie[16]. W dalszej kolejności niemieckie prawo miejskie otrzymała Piwniczna z rąk króla **Kazimierza Wielkiego** (1348 r.), lokowana na miejscu dawnej osady[17]. Jako przedostatnia prawa miejskie otrzymała Muszyna. Wzmiankowana po raz pierwszy w 1209 r. w dokumencie króla węgierskiego Andrzeja II, 12 maja 1288 r. była własnością biskupów krakowskich. Prawo niemieckie i prawa miejskie jako „Nowe Miasto" otrzymała z rąk króla Kazimierza Wielkiego przed 29 listopada 1364 r.[18]. Jako ostatnie otrzymały prawa miejskie Gniazda. Prawo niemieckie posiadały one już przed 1286 r., a przed 1553 r. prawa miejskie[19]. Zatem nad Popradem od Podolińca do Starego Sącza w latach 1257–1553 założono 6 miast na prawie niemieckim.

W tej części Doliny Popradu chrystianizacja szła od północy, jako że biskup krakowski był głównie odpowiedzialny za nią. Dotarła ona tu dopiero pod koniec XII wieku, a więc po przeszło 200 latach od przyjęcia chrztu przez **Mieszka I** (966 r.). Parafia przy kościele św. Krzyża w Starym Sączu powstała w XII wieku, przeniesiona około 1257 r. do kościoła św. Elżbiety w mieście. Przekazy źródłowe wspominają ją pierwszy raz we wrześniu 1299 r.[20]. Chronologię zakładania i fundacji parafii na tym terenie prezentuje tabela nr 2.

Tabela nr 2

Rozwój sieci parafialnej ob. łac. w Dolinie Popradu w diecezji krakowskiej do końca XVI wieku[21]

Lp.	Parafia	Wezwanie	Patron	Data fund.	Dokumentacja	Pierwsza wzmianka
1.	Stary Sącz	Św. Krzyż, Św. Elżbieta	Książ.	XII	Kumor, Archidiakonat, s. 71	1299 KDMP I nr 132
2.	Lubowla St.	Św. Mikołaj	Książ.	1222	AEp. vol. 70 k. 340–345 (reg. 1222)	1222
3.	Podoliniec	NMP (Wniebowz.)	Książ.	przed 1235	KDKK I nr 23	1235
4.	Gniazda	Św. Bartł. Ap.	Książ.	przed 1235	KDKK I nr 23	1235
5.	Barcice	WW. Święci	Książ.	ok. 1250	Kumor, Archidiak. sąd., s. 24	1325 MPV I s. 144
6.	Biegonice	Św. Wawrzyniec	Książ.	1264	Inwent. 1661 s. 1	1264
7.	Żeleźnikowa	Św. Michał	Rycer.	XIII	Archid. sąd., s. 80	1325 MPV I 144
8.	Drużbaki Dolne	Św. Katarzyna	Król.	1303	Suppl. Scep. II 23–24	1303
9.	Hobgard	Św. Andrzej Ap.	Rycer.	1303	Suppl. Scep. II 23–24	1303
10.	Lubowla Nowa	Św. Jan Ap.	Król.	1303	Archid. sąd. 188 s. 65	1303
11.	Piwniczna	Narodz. NMP	Król.	1348	Archid. sąd. 188 s. 65	1375 KDMP III nr 873
12.	Andrzejówka	Św. Andrzej (?)	Król.	1352	Zbiór dok. mał. I nr 67	1352
13.	Muszyna	Wniebowz. NMP	Król.	1356	Archid. sąd. 41	przed 1420
14.	Drużbaki Górne	Oczyszcz. NMP	Król.	ok. 1530	Archid. sąd. s. 188	

Łącznie w granicach diecezji krakowskiej w Dolinie Popradu powstało 14 parafii, głównie w XIII stuleciu (6 parafii) i XIV (6 parafii). Są to niewątpliwie etapy chrystianizacji tych terenów. W całości od miasta Popradu na Słowacji do ujścia rzeki do Dunajca koło Starego Sącza w dolinie tej do końca XVI wieku powstały 24 parafie, co daje przeciętnie co 6 km jeden ośrodek duszpasterski. Większość z nich powstała przed końcem XIV stulecia (22 parafie) — 84,42%. Liczba parafii zaczęła się zwiększać dopiero w okresie tzw. regulacji parafialnej za czasów cesarza Józefa II (1780–1790). Obecność chrześcijaństwa dawała tu o sobie znać przez fundacje monarchów polskich i węgierskich. Tylko 2 ośrodki duszpasterskie (Hobgard i Żeleźnikowa) były fundacji rycerskiej, a dwie dalsze (Huncovce, Velká Lomnica) powstały dzięki nieznanym fundatorom.

Rozwijał się kult Świętych, których patrocinia nosiły świątynie parafialne. Znajdowało to nade wszystko wyraz w uroczystościach odpustowych i rocznicy dedykacji kościołów. Najbardziej popularne były patrocinia mariańskie (5 kościołów), św. Andrzeja Apostoła (3 kościoły), św. Katarzyny Aleksandryjskiej (2 kościoły) i Elżbiety Węgierskiej (2 kościoły). Kult świętych Patronów Węgier i Polski znalazł wyraz w patrocinium św. Stefana króla w Matejovcach i św. Stanisława B. i M. w Starym Sączu (kościół franciszkański) i Podolińcu (kościół pijarski).

Stosunkowo dobrą sieć parafialną uzupełniały kościoły filialne i kaplice mszalne. W słowacko–węgierskiej części Doliny Popradu do końca XVI wieku powstały kościoły filialne w: Rokuszu św. Marcina, Forberg — św. Marcina, Szalok — św. Michała w parafii Kežmarok, św. Jana Chrzciciela — Stráže pod Tatrami (par. Poprad), Ducha Świętego w Lubicy (XIV w.), św. Anny — Stará Lesná parafia Velká Lomnica (1581 r.), Zwiastowania NMP — Nowá Lesná (par. Velký Slavkov — 1543) — łącznie 7 kościołów filialnych[22]. W polskiej części Doliny Popradu kościoły filialne były w Muszynie pw. Wniebowzięcia NMP (1596 r.), odkąd kard. **B. Maciejowski** (1600–1606) zbudował nową świątynię parafialną pw. św. Marcina i św. Michała Archanioła, na Mniszku św. Franciszka z Asyżu w parafii Piwniczna (przed 1596 r.), śś. Sebastiana i Rocha (1596 r.) i św. Krzyża (ok. 1250 r.) w Starym Sączu oraz kaplica mszalna w Żeleźnikowej pw. św. Anny (przed 1475 r.) — łącznie 5 świątyń filialnych[23]. W całej zatem Dolinie Popradu były 24 kościoły parafialne i 12 filialnych.

Do pełni życia chrześcijańskiego należy życie zakonne. Pojawiło się ono w Dolinie Popradu stosunkowo wcześnie. Pierwsze przybyły tu PP. Klaryski do Starego Sącza. Fundatorką opactwa przy kościele Trójcy Świętej była bł. Kinga, która dokumentem z 6 lipca 1280 r. uposażyła je. W opactwie tym za czasów **J. Długosza** przebywało 60 zakonnic, podczas gdy w 1596 r. było ich tylko 20. Pierwszy klasztor męski powstał również w Starym Sączu przy kościele św. Stanisława B. i M. z fun-

dacji księcia Bolesława Wstydliwego na prośbę bł. Kingi (przed 1278 r.). W klasztorze tym miało przebywać 12 zakonników. Dalszy klasztor powołał w Podolińcu dopiero w 1642 r. przy kościele św. Stanisława B. i M. z fundacji **Stanisława Lubomirskiego** dla księży pijarów. Przy tym klasztorze powstało sławne kolegium pijarskie, działające do XX stulecia[24]. W słowacko–węgierskiej części Doliny Popradu w 1371 r. osiedlili się benedyktyni w Stražkach koło Białej Spiskiej i nieco dalej od tej doliny w Štôle (1314 r.)[25].

Wyrazem obecności chrześcijaństwa w Dolinie Popradu były szkoły, zakładane tu od końca XIII stulecia; pod koniec XVI w. tylko w polskiej części omawianej doliny istniało 13 szkół parafialnych, w tym jedna dla dziewcząt (St. Sącz) oraz kolegium pijarskie w Podolińcu o charakterze szkoły więcej jak średniej. Do instytucji stworzonych przez chrześcijaństwo należały szpitale — przytułki dla chorych i biedoty, utrzymywane najczęściej przez parafie lub specjalne fundacje. W polskiej części Doliny Popradu najwcześniej powstał szpital w Starym Sączu (przed 1555 r.), a w późniejszym okresie pojawiły się one w Barcicach (1682 r.), Lubowli Starej (1672 r.) oraz w Muszynie, Piwnicznej, Gniazdach, Lubowli Nowej i Podolińcu (wszystkie przed 1728 r.)[26].

Nie brakło w Dolinie Popradu wielkiego ośrodka pątniczego, dokąd pielgrzymowano ze Słowacji, Węgier i Polski. Był to Stary Sącz z grobem bł. Kingi (1292 r.), beatyfikowanej wprawdzie dopiero przez papieża **Aleksandra VIII** (11 czerwca 1690 r.), ale jej kult i pielgrzymki do jej grobu rozpoczęły się już w 1307 r. Za czasów Jana Długosza grób bł. Kingi *„był bardzo sławny na skutek licznych cudów"*, a pielgrzymki miały charakter międzynarodowy[27].

Wyrazem dojrzałości chrześcijańskiej były kościelne organizacje katolików świeckich w formie bractw i stowarzyszeń kościelnych. Niestety, nie dysponuję odpowiednimi źródłami i literaturą naukową dla słowackiej części Doliny Popradu, podobnie jak to było przy omawianiu szkolnictwa i szpitalnictwa kościelnego. Wydane ostatnio drukiem wizytacje kościelne parafii na Słowacji w archidiecezji ostrzyhomskiej z lat 1616–1637 nie objęły omawianych przez nas parafii. Musimy się przeto zadowolić tylko polską częścią doliny. W tej części pierwsza tego typu organizacja powstała w Starym Sączu. Było to Bractwo kapłańskie pw. Bożego Ciała dla rozległego wówczas dekanatu sądeckiego, erygowane przez kard. **Zbigniewa Oleśnickiego** (1455 r.). Potwierdził je przed 1534 r. biskup **Piotr Tomicki**, a 19 kwietnia 1553 r. biskup **Andrzej Zebrzydowski** zatwierdził jego prawa i przywileje; podobnie zrobił kard. **J. Radziwiłł** 1 czerwca 1594 r. To wszystko mówiło, że Bractwo było bardzo żywotne[28].

Tu, w Starym Sączu, powstały też najstarsze kościelne organizacje katolików

świeckich. Było to Bractwo literackie NMP, erygowane w 1560 r. przez biskupa Andrzeja Zebrzydowskiego, Bractwo św. Anny założone przed 1596 r. — obydwa przy kościele św. Elżbiety oraz Bractwo różańcowe (1627 r.) przy kościele Franciszkanów św. Stanisława B. i M. Takie bractwa założono nieco później w Muszynie (Św. Józefa — 1728 r.), Gniazdach (Zwiastowania NMP — 1713 r.), Lubowli Starej (Św. Anny — 1604 r. i różańcowe 1672 r.) i w Podolińcu (Św. Anny — 1613 r.)[29].

Obok Kościoła katolickiego w dolinie nad średnim Popradem pojawili się w drugiej połowie XVI wieku Łemkowie, przynależni do Kościoła wschodniego w diecezji przemyskiej. Akcję kolonizacyjną na tych terenach żywiołem wołosko–ruskim podjęli biskupi krakowscy. W następstwie tej kolonizacji zaczęły powstawać wsie łemkowskie nad Popradem: Leluchów (1582 r.), Milik (1575 r.), Andrzejówka, gdzie Kościół wschodni przejął parafię łacińską (XVI w.), Żegiestów (1547 r.), Zubrzyk (1545 r.), Wierchomla Wielka (1591 r.) i Złockie (1580 r.). Takie wsie powstały również w granicach dzisiejszej Słowacji: Litmanowa (1571 r.), Jakobiany, gdzie również Kościół wschodni przejął parafię łacińską (1322 r.), Kamionka (przed 1569 r.), Jarzębina (przed 1569 r.) i nieco później Sulin (1652 r.). Przed końcem XVI stulecia powstały tu parafie wschodnie w Miliku (1575 r.), Złockiem (1580 r.), Wierchomli Wielkiej (1593 r.) i Zubrzyku (1605 r.). W granicach dzisiejszej Słowacji takie parafie powstały dopiero w XVII wieku w Sulinie (1653 r.), Jakobenach (1676 r.) i Litmanowej (1571 r.). Dalsze parafie powstały nieco później[30]. Dekanat Muszyński, do którego te cerkwie należały, przyjął unię brzeską od początków jej istnienia za sprawę biskupów krakowskich. Podobnie, jak w Kościele łacińskim, cerkwie tutejsze miały własne patrocinia i prowadziły szkoły cerkiewne, którymi kierowali „didascalos". Nie było tu jednak szpitali — przytułków dla ubogich i chorych.
Tabela nr 3 ilustruje omawiane zagadnienia[31].

Tak do końca XVI w. powstały 4 parafie łemkowskie nad Popradem, dalszych 8 powstało już w XVII stuleciu.

W ślad za akcją chrystianizacyjną Doliny Popradu, która ma charakter dynamiczny, postępował rozwój kultury chrześcijańskiej. Zaczęto więc lata liczyć od Narodzenia Chrystusa Pana i taką datację noszą wszystkie dokumenty przytoczone w tym opracowaniu. Bieg roku zaczęły oznaczać niedziele i święta kościelne, a także okresy liturgiczne, do których w datacji odwoływały się dokumenty. Pierwszy dokument dotyczący słowackiej części Doliny Popradu, wystawiony w 1209 r. przez króla Andrzeja II z Węgier rozpoczyna się *„W imię Świętej Trójcy i Nierozdzielnej Jedności"*, a kończy się datą *„roku od Wcielenia Pańskiego 1209"*. Pierwszy zaś dokument ze strony polskiej księcia Bolesława Wstydliwego z 1244 r. rozpoczyna się *„Wszystkim wiernym w Chrystusie pozdrowienia w Zbawicielu wszystkich"*, a kończy się *„Da-*

Tabela nr 3

Cerkwie grecko–katolickie w Dolinie Popradu

Lp.	Parafia	Patrocinium	Data założ. Cerkwi	Szkoła
1.	Jakobiany	ŚŚ. Kosma i Damian	1676	przed 1780
2.	Jarzębina	Narodzenie NMP	1742	przed 1780
3.	Kamionka	Święta Trójca	1760	przed 1780
4.	Leluchów	Św. Demetriusz M.	1720	—
5.	Litmanowa	Św. Michał Arch.	1571	przed 1780
6.	Milik	ŚŚ. Kosma i Damian	1575	przed 1780
7.	Andrzejówka	Wniebowz. NMP	1741	—
8.	Sulin	Św. Michał Arch.	1653	przed 1780
9.	Wierchomla W.	Św. Michał Arch.	1593	przed 1775
10.	Złockie	Św. Demetriusz M.	1580	przed 1765
11.	Zubrzyk	Św. Łukasz Ewang.	1606	przed 1761
12.	Żegiestów	Św. Michał Arch.	1674	przed 1780

no we środę po święcie Zwiastowania NMP roku 1244"[32].

W tygodniu pierwsze miejsce otrzymała niedziela, która gromadziła wiernych w świątyniach na służbę Bożą, głos dzwonów kościelnych, wzywających wiernych na modlitwę i liturgię wspólnotową zaczął dzielić pory dnia. Wydawanie wyroków sądowych i składane przysięgi rozpoczynały się w imię Trójcy Świętej, a kościelna architektura piękna i sztuka sakralna wraz z malarstwem dotarły głęboko na wieś. Krajobraz grodów, miast i wsi włączył do swych stałych cech wieżę kościelną, klasztor, szkołę i szpital. Krzyż i obrazy chrześcijańskie zaczęły zdobić domy mieszkalne. Kalendarz liturgiczny i pieśń religijna zostały istotnie włączone do kultu Chrystusa Pana, Bogarodzicy i Świętych.

Przypisy

1. CDSlov. (Codex diplomaticus et epistolaris Slovaciae) I nr 154 s. 122–123, nr 156 s. 123–124; A. Wędzki, Poprad. SSS (Słownik Starożytności Słowiańskich. Wrocław 1970) t. 4 s. 230.
2. CDSlov. II nr 148 s. 99–100; KDMP (Kodeks dyplomatyczny Małopolski) II nr 425 s. 73–74, nr 487 s. 145–147 (1280), nr 512 s. 171–173 (1289).
3. J. Długosz, Historiae Polonicae libri XII. Ed. A. Przeździecki. T. 4. Cracoviae 1877 s. 134–139; J. Natanson–Leski, Rozwój terytorialny Polski do roku 1572. Warszawa 1964 s. 87, 101.

4. KDKK (Kodeks dyplomatyczny Katedry Krakowskiej. Wyd. F. Piekosiński) I nr 23 s. 32.
5. KDKK I nr 26 s. 35; nr 141 s. 179 n., nr 142 s. 180 n., nr 150 s. 190–194.
6. KDMP III nr 634 s. 4–5.
7. KDMP III nr 669 s. 48–49.
8. B. Kumor, Granice metropolii i diecezji polskich 968–1939. Lublin 1969 s. 62
9. CDSlov. II nr 522 s. 362 (1256), nr 370 s. 258 (1251), nr 586 s. 406 (1257), nr 368 s. 255 (1251), nr 370 s. 358 (1251).
10. CDSlov. II nr 400 s. 277 (1251); Schematismus almae Dioecesis Scepusiensis p.a.D. 1896 s. 46, 498, 49, 50, 51, 52.
11. Wezwania kościołów podano za Schematismus 1896. Niestety źródło bardzo późne.
12. Strigonium Antiquum. Pámány Péter egyházlátogatási jegyzökönyves (1616–1637). Val. Beke Margit. Budapest 1994 s. 20 nn.; M. Gotkiewicz, Reformacja i kontrreformacja na Spiszu. Nasza Przeszłość. T. 7 (1958) s. 74–75.
13. Źródła dziejowe. T. 15. Oprac. A. Pawiński. Małopolska. T. 4. Warszawa 1886 s. 454–455; H. Stamirski, Mapa historyczna Sądecczyzny z 1629 r. Rocznik Sądecki. T. 3 (1957).
14. KDMP (Kodeks dyplomatyczny Małopolski. Wyd. F. Piekosiński. Cracoviae 1876) I nr 10 s. 16, nr 12 s. 19, oraz s. 529; II nr 452 s. 106–108, nr 475 s. 128; H. Barycz (red.), Historia Starego Sącza od czasów najdawniejszych do 1939 roku. Kraków 1979 s. 33–34, 46–57.
15. CDSlov. I nr 446 s. 323; KDKK (Kodeks dyplomatyczny Katedry Krakowskiej. Wyd. F. Piekosiński. Kraków 1874) I nr 23 s.32; CDSlov. II nr 148 s. 99–100; KDMP II nr 425 s. 73–74, nr 522 s. 188–189.
16. KDMP II nr 522 s. 189, nr 540 s. 207; AKMK (Archiwum Kurii Metropolitalnej w Krakowie) AEp. vol. 70 k. 340–345 (reg.); MRPS (Matricularum Regni Poloniae Summaria) II nr 14 (reg.); B. Kumor, Archidiakonat sądecki. Lublin 1964 (Nadb. z ABMK T. 9) s. 187.
17. AGZ (Akta Grodzkie i Ziemskie) I nr 3; H. Stamirski, Zarys rozwoju miasta Piwnicznej (1348–1807). Nowy Sącz 1961.
18. CDSlov. I nr 156 s. 134; KDKK I nr 89 s. 123–125, nr 90 s. 125–127, nr 236 s. 302; Kumor, Archidiakonat sądecki s. 41.
19. Kumor, Archidiakonat sądecki, s. 186.
20. KDMP I s. 132 s. 159–161; B. Kumor, Archidiakonat sądecki, s. 71; H. Barycz, Historia s. 95. F. Kiryk opowiada się za powstaniem parafii w trzeciej ćwierci XIII wieku.

21. Kumor, Archidiakonat sądecki s. 25–73. 186–190.
22. Schematismus 1896 s. 48–53; Schématizmus slovenských katolickych Diocez. Bratislava 1971 s. 216–221.
23. B. Kumor, Archidiakonat sądecki s. 42, 65, 72, 80.
24. Tamże, s. 71–72, 190.
25. J. Špirko, Cirkovne dejiny. Bratislava 1941 s. 61.
26. Zob. przyp. nr 21.
27. M. H. Witkowska, Kinga, Kunegunda. W: Hagiografia Polska. Red. R. Gustaw. T. I. Poznań 1917 s. 766–772.
28. B. Kumor, Archidiakonat sądecki s. 72–73.
29. Tamże, s. 72 nn., 187 nn.
30. ADT (Archiwum Diecezjalne w Tarnowie) Visitatio ecclesiarum parochialium in decanatu Muszynensi — — — 1780 factae, s. 1–54; B. Kumor, Osadnictwo łemkowskie i sieć parafialna w Kluczu Muszyńskim Biskupstwa Krakowskiego (do 1780 r.). Rocznik Sądecki T. 24 (1996) s. 10–16.
31. Jak wyżej.
32. CDSlov. I nr 154 s. 122–123 (1209); KDMP II nr 425 s. 73–74 (1244).

Irena Styczyńska

OSWOBODZENIE NOWEGO SĄCZA Z „POTOPU" SZWEDZKIEGO

Od pierwszej chwili swego wstąpienia na tron (16 września 1654) król szwedzki **Karol Gustaw** postanowił skorzystać z wewnętrznego wówczas w Polsce rozprzężenia i zdobyć dla siebie polską koronę. Sporym punktem między Polską a Szwecją były Prusy i Inflanty — i o te ziemie, a również o panowanie nad Bałtykiem, toczyły się wojny. Król szwedzki rozpoczął olbrzymie zbrojenia, na które uzyskał zezwolenie szwedzkiego sejmu, także przystąpił do zaciągów wojskowych w innych krajach.

Wojska szwedzkie pod wodzą Karola Gustawa weszły ne tereny Polski w lipcu 1655 r.

Król Polski, **Jan Kazimierz**, kiedy wszelkie negocjacje ze Szwecją nie przyniosły rezultatu, by pokój utrzymać i zawrzeć przymierze — zwołał sejm do Warszawy, który w dniach od 19 maja do 20 czerwca 1655 r. obradując, uchwalił pospolite ruszenie i pobór wojska łanowego ku obronie przed szwedzkim sąsiadem. Spóźniły się królewskie działania, bo już 25 lipca tegoż roku poddało się Karolowi Gustawowi i jego szwedzkim wojskom wielkopolskie pospolite ruszenie, zgromadzone pod Ujściem, w celu bronienia przeprawy przez Noteć. W wyniku tego poddała się królowi szwedzkiemu cała Wielkopolska.

Za sprawą księcia **Janusza Radziwiłła** Litwa uznała króla szwedzkiego Karola Gustawa dnia 18 sierpnia 1655 r. swym wielkim księciem. Na wieść o tym król Jan Kazimierz opuścił Warszawę, która już dnia 20 sierpnia skapitulowała przed Szwedami. Król Polski — przed tak szybko rozlewającym się „potopem" szwedzkim uciekał do Krakowa, z którego 14 września uchodził znów w stronę Tarnowa — pozostawiając obronę Krakowa wojskom pod wodzą **Stefana Czarnieckiego**. Szwedzi zdobywają Kraków już 18 września, a Stefan Czarniecki ze swoim wojskiem przechodzi na

Pogórze Karpackie. Królowa — małżonka Jana Kazimierza wraz z wyższym duchowieństwem zmuszona była szukać schronienia na Śląsku. Polskie wojska koronne potworzywszy konfederacje opuściły hetmanów — w Polsce zapanował chaos.

Król Karol Gustaw w otoczeniu najprzedniejszych swoich oficerów szedł w pogoń za polskim królem. W dniu 21 września zajął miasteczko Wiśnicz z Zamkiem, który mu się poddał z kilkuset ludźmi załogi i 35 działami. Zaś król polski, Jan Kazimierz, klucząc po drogach uszedł ku górom.

Dnia 27 września 1655 r. przybył do Nowego Sącza oboźny królewski, by przygotować dla króla zamkowe pomieszczenia. Wieczorem tego dnia zjechał do miasta sam król Jan Kazimierz. Przy osobie króla jechał mały oddział dragonii i najwierniejsi dworzanie. Wieziono w tym orszaku strzeżone przez wiernego królowi pokojowca **Wolfa** korony i skarbiec królewski. Niewielu z orszaku królewskiego było o tym wiadome. Wieziono też 12 więźniów szwedzkich, wśród nich był ulubieniec króla Karola Gustawa pułkownik **Jerzy Forgwell**. Za królem przybył do Nowego Sącza dwór jego i kilku wiernych senatorów.

Król wjeżdżał do Nowego Sącza bez wielkiej okazałości. Na przywitanie króla wyszła wszystka ludność i duchowieństwo miasta, lecz w tym poruszeniu i trwodze nie witano króla uroczyście mowami. Cztery tylko pochodnie płonęły u bram miasta przez krótki czas królewskiego w nim pobytu. Wjechawszy na sądecki zamek rozkazał król, by kilku odważnych mieszczan co tchu ruszyło do przeprawy wodnej na Dunajcu w Kurowie, aby znajdujące się tam promy porąbać. Rozkaz króla wykonano przeciągając łodzie na prawy brzeg rzeki.

Następnego już dnia król Jan Kazimierz wyjechał do nadgranicznego Czorsztyna, gdzie oczekiwał go marszałek wielki koronny **Jerzy Lubomirski**.

Burmistrz Nowego Sącza, **Marcin Frankowicz**, postarał się dla króla o przewodnika dobrze znającego drogę do Czorsztyna, płacąc mu z kasy miejskiej za tę usługę 2 złote polskie.

Po odjeździe króla i jego orszaku z miasta zebrali się mieszczanie sądeccy ze swymi cechami na czele na wiec, radząc, co czynić dalej. Miasto otoczone było murami, bronione basztami i bramami obronnymi, posiadało też niemało broni cechowej i miejskiej. W sytuacji tej zamierzali mieszczanie zaufać murom miejskim oraz własnej odwadze i zamknąć miasto przed Szwedami. Skoro jednak król Jan Kazimierz był w niedalekim Czorsztynie, wyprawiono z miasta gońca do króla z zapytaniem czy stawiać opór, czy poddać miasto Szwedom.

Król Jan Kazimierz opuszczając granicę Polski i nie chcąc, by historia zapisała, że za jego panowania marniały najpiękniejsze polskie miasta, nakazał Nowemu Sączowi poddanie się Szwedom.

Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. J. Szujskiego w Nowym Sączu Region

Jeszcze przed opuszczeniem kraju król Jan Kazimierz paktował z królem szwedzkim przez płk. Jerzego Forgwella, by miasta Nowego Sącza nie niszczył.

Z początkiem października 1655 r. wojska szwedzkie pod wodzą Jerzego Forgwella wkroczyły do Nowego Sącza, za nim nadciągnęli ochotnicy hr. **Magnusa de la Gardie** z dowodzącym nimi porucznikiem **Patrykiem Gordonem**. Natychmiast obsadzili baszty i mury miasta, także objęli straż zamkową i bramną.

Płk Forgwell — szwedzki komendant miasta — utrzymywał karność i porządek w wojsku tak, że nawet jarmark zwołany w mieście na dzień św. Marcina (24 X) odbył się w spokoju. Ale w połowie listopada został on odwołany przez Karola Gustawa, a dowództwo w Nowym Sączu objął po nim podpułkownik **Stein**. Od tej chwili wszystko się zmieniło. Szwedzi poczęli uciskać miasto różnymi daninami i kontrybucjami tak, że nie starczało mieszczanom funduszy na ich wypłacanie. W tej sytuacji zmuszeni byli rajcy miejscy sprzedać nawet miedzianą blachę zdartą z dachu kolegiackiego kościoła św. Małgorzaty, aby w imieniu miasta złożyć wymagane przez Szwedów kwoty kontrybucyjne.

Szwedzi rozbroili też mieszczan. Oprócz miejskiej broni na ratuszu i cechowej w basztach każdy mieszczan posiadał oręż. Nowy komendant miasta Stein rozkazał poodbierać wszystkim mieszczanom broń. Nie dotyczyło to jednak mieszkających w Nowym Sączu arian, którym Szwedzi byli przychylni — toteż broń mieszczańską złożono na skład u arianina **Jana Wielogłowskiego**. Mieszczanie ukrywali jednak jak mogli rynsztunki wojenne. Cech szewców dał np. dzwonnikowi z kościoła św. Małgorzaty do przechowania w kościele swój proch armatni.

Kiedy łupiestwo Szwedów rozprzestrzeniło się, mieszkańcy miasta starali się poukrywać przed nimi co mieli wartościowego. Co zamożniejsi (jak **Zofia Stanno** — wdowa po staroście sądeckim, czy podstarości sądecki, **Jan Boczkowski**), uradzili przechować swoje skarby w grobach kolegiaty sądeckiej. Przeniesiono skrzynie do kościoła, po czym kustosz kościoła ukrył je gdzieś w kościele, ale nikt nie widział, gdzie i jakim sposobem.

Doszły do Szwedów słuchy o tym zdarzeniu. Liczący na zdobycz komendant miasta Stein wysłał swego majora **Liktyna**, by skarby ukryte w kościele zabrał. U majora służył za pachołka sądeczanin — **Florian Siemichowski** — dwukrotnie już przechodzący z ariaństwa na katolicyzm i odwrotnie. Onże podjął się wejść do podziemi kolegiaty św. Małgorzaty wraz z Szwedami. Otworzywszy groby kapłańskie i mieszczańskie w podziemiach kościoła poszukiwali ukrytych w nich skarbów, a nieznalazłszy ich, zbezcześcili przy tym trumny i ograbili je.

Wieść o zbezczeszczeniu grobów w kolegiacie rozeszła się po mieście i okolicy, co rozjątrzyło ludność do ostateczności. Kto mógł uciekał z miasta ku Nawojowej,

gdzie pod wodzą rotmistrza **Felicjana Kochowskiego** stacjonowała piechota nawojowska Lubomirskich (byli wówczas właścicielami „państwa nawojowskiego" i zarazem starostami sądeckimi).

Komendant miasta Stein — wyczuwając rozjątrzenie mieszkańców Nowego Sącza postanowił mieć się na baczności, tym bardziej, że nagle dowiedział się od kilku ujętych wieśniaków — torturami wymusiwszy na nich zeznania — że 2–3 tysięcy chłopów pod dowództwem braci **Jana** i **Kazimierza Wąsowiczów** — synów **Sebastiana Wąsowicza**, zastawnego dziedzica Łabowej i Maciejowej oraz 200 dragonii muszyńskiej biskupa krakowskiego zebrało się w pobliskich miastu lasach i zamierza uderzyć na wieś Dąbrowę. Wieś ta posiadała strategiczne dla Szwedów znaczenie z uwagi na dojście do Wiśnicza i Krakowa — gdzie były inne oddziały szwedzkie. Dąbrowa była własnością zagorzałego arianina i szpiega szwedzkiego, **Wespazjana Schlichtinga**, właściciela także Ubiadu i Bukowca na Sądecczyźnie. Wojsko polskie zamierzało uderzyć na arian równocześnie odcinając Szwedom drogę ucieczki, zająć Dąbrowę i stamtąd uderzyć na Nowy Sącz.

Stein postanowił obsadzić Dąbrowę swoją załogą i uprzedzić planowane zajęcie tej wsi, a także w niej właśnie rozbić oddziały polskie. Wyruszył ze znacznym oddziałem Szwedów z miasta, pozostawiając w Nowym Sączu niewielką, ale doborową załogę pod dowództwem porucznika Patryka Gordona, któremu przykazał, by za najmniejszym okazaniem oporu ze strony mieszczan przeprowadził powszechną ich rzeź — i to bez litości.

Najważniejszym w tej historii w następstwa było opowiedzenie przez oficera szwedzkiego sądeckiej mieszczce planów komendanta Steina w stosunku do mieszczan, którym za komunikowanie się z wojskami polskimi groziła rzeź, a miastu jego zburzenie.

Dziewczyna pobiegła z tą wiadomością do Falkowej, donosząc usłyszaną wiadomość pisarzowi miejskiemu **Jędrzejowi Szczyckiemu**, który znów przez Kunów i Jamnicę dał znać o wszystkim wojsku i braciom Wąsowiczom. Tym wyjawieniem szwedzkich co do miasta Nowego Sącza zamysłów, dziewczyna uratowała je.

Do lasów nawojowskich zaczęło przybywać coraz więcej mieszczan uciekających przed niebezpieczeństwem oraz z zapewnieniem gotowości o przystąpieniu do powstania przeciw wrogom.

Oddziały polskie — korzystając z wymarszu Steina z Nowego Sącza — zmieniły poprzedni plan i postanowiły opanować miasto przez wyrwanie go z rąk szwedzkich. Wojska te otrzymały wiadomość, że zbliżają się posiłki dla nich.

Nowy Sącz — miasto otoczone murami, bronione było jeszcze w owym czasie od strony południowej szerokim przekopem i podwójnym ziemnym wałem oddziela-

jącym je od przedmieścia zwanego Węgierskim. Poza wałem stały szeregiem stodoły miejskie, a pod każdą z nich była piwnica. W tych to piwnicach ukryło się kilkunastu najodważniejszych z wojsk nawojowskich. Tak jak czyniła to codziennie, czeladź miejska wyszła z miasta wieczorem 13 grudnia 1655 r. w dzień św. Łucji furtą miejską do stodół po siano i słomę dla bydła. Ukryci w piwnicach wojownicy przebrali się w szaty czeladzi i niosąc wiązki potrawy i w nich ukrytą broń, zdążali za innymi wyszłymi z miasta poza mury, w ich obręb. Kiedy żołnierze szwedzcy stróżujący przy bramie węgierskiej jak zwykle rozpoczęli umizgi do dziewcząt służebnych wracających z przedmieścia, przebrani żołnierze polscy napadli na nich uśmiercając ich i chyłkiem pod murami miejskimi dopadli bramy węgierskiej, siekierami wybili jej wrota i spuścili pomost na fosę. Tak została zdobyta brama węgierska. Na huk strzałów Szwedom przybyły posiłki. Rozpoczęła się regularna walka. Szwedzi w szyku wojennym natarli dzielnie na wojsko i mieszczan chcąc odzyskać bramę węgierską. Mieszczanie sądeccy, członkowie cechów, pod wodzą burmistrza, odebrawszy swoją uprzednio złożoną u arianina Jana Wielogłowskiego broń, uderzyli na Szwedów.

Osaczeni i pobici Szwedzi poczęli cofać się — jedni wzdłuż murów miejskich ulicą furmańską (dzisiejsza ul. Wałowa) ku bramie młyńskiej, drudzy w przeciwnym kierunku, ku wąskiej uliczce różanej (dzisiejsza ul. Pijarska). Szwedzi z załogi zamku

Walka mieszczan sądeckich ze Szwedami (1655 r.). Rys. Cz. Elster. Reprodukcja Henryka Dobrzańskiego

widząc co się dzieje obsadzili opactwo Norbertanów (dzisiaj oo. Jezuici) i otoczenie kościoła św. Małgorzaty. (W owych czasach świątynie i klasztor obwiedzione były osobnymi murami).

Wartownicy szwedzcy strzegący murów miejskich, chcąc pomóc swoim w walce zeszli z nich. Ta właśnie okoliczność zgubiła Szwedów.

Pułkownik dragonów — Krzysztof Wąsowicz — dowódca lekkiej jazdy Stefana Czarnieckiego i jego nawojowscy ludzie spostrzegłszy, że mur miejski nie jest strzeżony, po drabinach przy pomocy mieszczan wdarli się do miasta i od ulicy różanej wpadli na Szwedów. W tym ataku pomogli mieszczanie sądeccy tak, że ani jeden szwedzki żołnierz nie uszedł z życiem z tej potyczki.

„Szeroko Szwedzi zalegli śnieg biały..." opowiada w swoim poemacie — pierwszym w Polsce poemacie mieszczańskim *Dziewczę z Sącza* — **Mieczysław Romanowski**, pisarz, poeta, powstaniec z 1863 r. (zginął w tym powstaniu pod Józefowem).

W opactwie Norbertanów wybito w murze dwa otwory i tym wyłomem wyprowadzono z niego Szwedów. Z obmurowanego cmentarza przy kolegiacie św. Małgorzaty Szwedzi sami się wycofali. Na zamku trwał z garstką żołnierzy Patryk Gordon, a widząc przegraną szwedzką uciekł z miasta furtą grodzką (przy klasztorze oo. Franciszkanów), dając znać Steinowi w Dąbrowej o poniesionej klęsce.

Stein, połączywszy się z garstką żołnierzy Patryka Gordona, w największym pośpiechu wyruszył na Nowy Sącz i od strony bramy krakowskiej i dzisiejszego przedmieścia „Przetakówka" przypuścił szturm do miasta.

W Nowym Sączu, tak od strony zamku, jak i od strony bramy krakowskiej, mieszczanie przygotowali się do obrony. Samą bramę krakowską podparto potężnymi balami drzewa. W następnych dwóch bramach: młyńskiej i węgierskiej przygotowano działka i organki (organki — to broń palna składająca się z kilku luf żelaznych wiszących na pasach, którymi nadawano im kierunek, a podpalany w lufach równocześnie proch sprawiał szkodę jak ogień kartaczowy).

Szwedzi znający dobrze miasto, szturmowali je — jedni od strony zamku, drudzy bramą krakowską. Szczególnie pchali się do otworu kanałowego, odprowadzającego wodę deszczową z miasta, chcąc go wysadzić prochem i wyłom do miasta uczynić.

Na pomoc mieszczanom sądeckim przybyła od strony rzeki Kamienicy piechota nawojowska, która pod wodzą Felicjana Kochowskiego uderzyła na Szwedów z boku. Za tym polskim wojskiem postępowała piechota spiska Jerzego Lubomirskiego z Lubowli prowadzona przez **Jana Gerlichowskiego**. Z tymi wojskami szedł i starosta sądecki, **Konstanty Lubomirski**.

Szwedzi widząc tak wielką przewagę nad sobą, zostawiwszy poległych, wszystkie łupy, wozy i działa umykali chyłkiem w stronę Wiśnicza. Pojmano 19 żołnierzy szwedzkich. W niewoli mieszczan sądeckich przebywali do połowy 1656 roku,

Bicie w dzwony obwieszczało miastu oswobodzenie od szwedzkiej załogi.

„Radość zwycięskie krasiła oblicza
Wszyscy stanęli koło Wąsowicza,
A ten im począł opowiem staroście
Jakoście dzielnie bili się waszmoście.
Imieniem króla: górą Sądeczanie…"

w poemacie *Dziewczę z Sącza* mówi Mieczysław Romanowski.

Nazajutrz rano wjechał do miasta starosta Konstanty Lubomirski ze swoją nawojowską piechotą i objął straż nad miastem na zamku i w bramach miejskich. W imieniu króla płk Jan Gerlichowski przypilnował, by mury miejskie naprawione zostały, broń w basztach przygotowana… i wysłał też za Szwedami zwiadowcę, który szedł za nimi aż do Wiśnicza, by wywiedzieć się o ich zamiarach.

Poległych w obronie miasta mieszczan pochowano — zgodnie z przywilejem rycerskim — na pobojowisku u murów miejskich, przy narożniku ulicy drwalskiej (dzisiejsza Jagiellońska). Spoczywały tam ich kości do roku 1800, po którym przeniesiono je na cmentarz kościelny — dzisiaj „Starym Cmentarzem" zwany. Poległych szwedzkich najeźdźców pogrzebano za murami miasta, na miejscu straceń — gdzie dzisiaj kapliczka pw. św. Marka, zwana „Szwedzką".

Kiedy cała Polska znajdowała się pod władzą Szwedów, kiedy tylko Częstochowa stawiała bohaterski opór najeźdźcom — mieszkańcy Nowego Sącza przy pomocy włościan z Nawojowej, Łabowej, Podegrodzia i Brzeznej zadali Szwedom klęskę, zmusili do opuszczenia miasta i do haniebnej z niego ucieczki. Obok walecznej, niezdobytej Częstochowy, wpłynęło to na rozbudzanie sumienia i honoru narodowego, wywarło wpływ na dalszy tok prowadzenia wojny ze Szwedami.

Król Jan Kazimierz postanowił korzystać z podniesienia ducha w narodzie i wrócić do Polski. Ku niej wyjechał z Opola już 18 grudnia 1655 r. przez Śląsk i Słowację, by 27 grudnia być już w Lubowli na Spiszu, a 4 stycznia 1656 r. w Krośnie.

Dnia 21 grudnia zwołano do Nowego Sącza sejmik, na którym udało się staroście Konstantemu Lubomirskiemu poruszyć całe Pogórze Karpackie przeciw Szwedom.

Po wypędzeniu Szwedów nastały w Nowym Sączu spokojniejsze chwile. Po załatwieniu najpilniejszych spraw gospodarczych rajcy miejscy oddali pochwyconego w czasie porażki szwedzkiej renegata Floriana Siemichowskiego — zgodnie z przepisami prawa miejskiego — pod osąd sądu wójtowskiego. Pomimo nadchodzących

świąt Bożego Narodzenia zwołano bezzwłocznie sąd, na którym instygator — prokurator rady miejskiej — oskarżył sądzonego o złupienie i profanację grobów w kolegiacie św. Małgorzaty, a także o namawianie wroga do nieprawnego odbierania mienia mieszczanom. Kiedy oskarżony zaprzeczał swej winy, stosownie do kodeksu prawa magdeburskiego oddano go oprawcy na męki. Mimo zadanych mąk nie chciał przyznać się do winy. Ponieważ jednak z przesłuchania świadków udowodniono mu zarzucane przewinienia, sąd wójtowski ławniczy sądecki skazał go na ucięcie głowy pod pręgierzem stojącym pośrodku rynku — co też uczyniono. Pogrzebano winowajcę na miejscu straceń, obok Szwedów.

Z nadejściem Świąt Bożego Narodzenia spokojniej żyć poczęli mieszczanie sądeccy. Toteż w wigilię, po Mszy Pasterskiej bębniono i trąbiono według zwyczaju, ale tak, że skóra popękała na bębnie. Nie odstąpiono też od starodawnego zwyczaju przesłania w tym dniu 5 kóp bułeczek wypieczonych z najprzedniejszej mąki, 6 zajęcy i 6 garncy wina węgierskiego — w nowych beczułkach — starosądeckim klaryskom, jako wieczystą daninę i wykupno szkód, które klasztor bł. Kingi doznał przez wzrost znaczenia Nowego Sącza.

Miasto Nowy Sącz otrzymało od króla Jana Kazimierza pergamin z podziękowaniem za dzielność, datowany w Krośnie dnia 8 stycznia 1656 r. W ludowym zaś przysłowiu dzień 13 grudnia 1655 r. pozostał stwierdzeniem: *„Na świętą Łucą — Szweda młócą".*

Jerzy Giza

ORGANIZACJA „WOLNOŚĆ" W 20. GALICYJSKIM PUŁKU PIECHOTY

Niniejszy artykuł obejmuje zarówno okres konspiracyjnej pracy niepodległościowej prowadzonej przez oficerów Polaków od grudnia 1916 roku w 20. galicyjskim pułku piechoty „Księcia Pruskiego Henryka" (zwanego Zwanzigerami z Matką Boską)[1], jak i przewrót polityczno–wojskowy dokonany przez członków Organizacji „Wolność" z tegoż pułku, w październiku 1918 roku w Tarnowie oraz w Nowym Sączu i w listopadzie 1918 roku na froncie włoskim, a także omawia skrótowo historię stowarzyszenia społecznego pn. „Związek Organizacji Wolność i uczestników walk o niepodległość w formacjach byłej armii austriackiej", powstałego w czerwcu 1937 roku.

***

Dążenia niepodległościowe Polaków z okresu I wojny światowej utożsamiane są powszechnie z walkami Legionów Polskich i pracą konspiracyjną Polskiej Organizacji Wojskowej. Przede wszystkim historię ich walki oraz pracy niepodległościowej wysunięto w okresie międzywojennym na plan pierwszy w różnego rodzaju opracowaniach zarówno naukowych, jak i popularnonaukowych, czy też w rocznicowych artykułach prasowych lub literaturze pięknej. Prawie zupełnym milczeniem potraktowano istnienie i działalność w szeregach armii austro–węgierskiej Organizacji „Wolność", która zrzeszała polskich oficerów, podoficerów i żołnierzy, stawiających sobie ten sam cel, co legioniści i peowiacy — odzyskanie przez Polskę niepodległości. Fakt braku oficjalnego zainteresowania tematem u ówczesnych historyków, szczególnie historyków wojskowości skupionych w Wojskowym Biurze Historycznym w Warszawie, nie zmieniło powstanie w czerwcu 1937 roku w Krakowie stowarzyszenia

pn. „Związek Organizacji Wolności i uczestników walk o niepodległość w formacjach byłej armii austriackiej", a także oficjalne oświadczenie Marszałka Polski Edwarda Śmigłego–Rydza z 25 maja 1938 roku w sprawie niepodległościowej działalności Organizacji „Wolność" w latach 1917–1918. Zaraz potem wybuchła II wojna światowa, a po jej zakończeniu nastał czas komunistycznego zniewolenia Polski, gdzie słowo *Niepodległość* znalazło się na indeksie, i prac historycznych na temat Organizacji „Wolność" z wiadomych względów w ogóle nie podjęto. Niemniej jednak los okazał się łaskawszy i sprawiedliwszy dla tamtych polskich niepodległościowców niż pióra historyków II Rzeczypospolitej, bo po 80 latach pozwolił wnukowi jednego z członków tej organizacji natknąć się w swych poszukiwaniach historycznych na potomków innego z jej członków, a oni udostępnili mu przechowywane w ukryciu od września 1939 roku dokumenty związane z Organizacją „Wolność", zgromadzone w ciągu dwóch lat (ostatnich przedokupacyjnych chwil) przez powstały w 1937 roku Związek.

***

Nim omówiony zostanie zasadniczy temat tego artykułu, warto słów kilka poświęcić krótkiej historii „Związku Organizacji Wolność i uczestników walk o niepodległość w formacjach byłej armii austriackiej".

Powstał on głównie z głębokiego poczucia zawodu związanego z niedocenieniem patriotycznej postawy i niepodległościowej działalności prowadzonej na terenie ówczesnej Galicji przez Polaków wcielonych do armii austro–węgierskiej. Pisano o tym w memoriale skierowanym do Kapituły Krzyża i Medalu Niepodległości w sposób następujący: *„…Stwierdzić należy, że przeoczenie wysiłków oficerów i żołnierzy byłej armii austriackiej, którzy konspiracyjnie złączeni w Organizacji „Wolność", współdziałali z POW na wiele miesięcy przed przewrotem listopadowym 1918 roku, jest nie tylko krzywdą wyrządzoną zasłużonym uczestnikom zmagań o Niepodległość Polski, ale i błędem historycznym, spaczającym prawdę o ludziach i czynach. (…) Przeoczenie tych faktów było tak długo możliwe, jak długo zainteresowani nie uświadomili sobie, że to przeoczenie ich zaczęło się z biegiem czasu przekształcać w zarzuty rzekomej ultra–ugodowości, ultra–austrofilizmu, a więc zarzuty godzące w poczucie honoru obywatelskiego…"*

Postanowiono więc doprowadzić do uznania tej działalności za ważną dla odzyskania przez Polskę niepodległości, poprzez publikację opracowań historycznych na ten temat. Od 1934 roku z inicjatywy generała Jerzego Dobrodzickiego zaczęto zbierać dokumenty mogące poświadczyć, iż w szeregach byłej armii austro–węgierskiej prowadzona była na szeroką skalę przez oficerów Polaków akcja niepodległościo-

wa. Równocześnie postanowiono powołać do życia stowarzyszenie społeczne, które zrzeszałoby działaczy byłej Organizacji „Wolność" i reprezentowałoby ich interesy. W tym celu zwołano na dzień 6 czerwca 1937 roku do Krakowa zjazd tych Polaków służących w byłej armii austro–węgierskiej, którzy mogli udowodnić swój udział w pracach niepodległościowych przed i podczas I wojny światowej. Na zjeździe tym uchwalono założenie „Związku Organizacji Wolność i uczestników walk o niepodległość w formacjach byłej armii austriackiej". Opracowano statut Związku, który został zatwierdzony 14 kwietnia 1938 roku i opublikowany w „*Monitorze Polskim*" nr 107 z dnia 11 maja tegoż roku. Zatwierdzenie odznaki związkowej nastąpiło dopiero na podstawie decyzji MSWojsk. z dnia 6 kwietnia 1939 roku. Działania podjęte przez Związek zbiegły się z rozporządzeniami Ministerstwa Spraw Wojskowych dotyczącymi *„zapewnienia pracy i zaopatrzenia uczestników walk o niepodległość Państwa Polskiego"* oraz *„o sposobie udowodnienia czynnego udziału w walkach o niepodległość"*, a co najważniejsze z opublikowaniem w *„Dzienniku Urzędowym RP"* nr 69 poz. 467 z dnia 5 sierpnia 1939 roku rozporządzenia MSWojsk., uznającego Organizację „Wolność" na równi z innymi jako organizację niepodległościową z wszelkimi tego konsekwencjami prawnymi. Ówczesny Minister Spraw Wojskowych gen. dyw. Tadeusz Kasprzycki polecił jako datę początkową rozpoczęcia działalności Organizacji „Wolność" przyjąć dzień 23 listopada 1917 roku.

Związkiem kierował Zarząd Główny poprzez swój Wydział Wykonawczy, Komisję Historyczną i Komisję Odznaczeniową. Natomiast działalność wewnątrzzwiązkowa oparta była na Kołach Formacji (np. piechoty, kawalerii, artylerii itp.). Prezesem Związku wybrano generała Władysława Langnera, a wiceprezesami senatora Kazimierza Ducha i pułkownika Władysława Wojakowskiego, natomiast sekretarzem generalnym został podpułkownik Stanisław Plappert, a skarbnikiem pułkownik Bronisław Hackbeil.

Odznaka Organizacji „Wolność", reprodukcja Lesław Pizło

Lokal Zarządu Głównego Związku znajdował się w Krakowie przy ul. Mikołajskiej 6 aż do rozpoczęcia okupacji we wrześniu 1939 roku. Znajdujące się w nim materiały nie mające znaczenia historycznego tuż przed wkroczeniem oddziałów niemieckich zniszczono, a resztę starannie ukryto najpierw w siedzibie Ubezpieczalni Społecznej przy ul. Bato-

rego 3, a później w piwnicach willi przy ul. Daszyńskiego. Stało się to przede wszystkim dzięki odważnej postawie sekretarza generalnego Związku, ówczesnego podpułkownika w stanie spoczynku **Stanisława Plapperta.** Po jego śmierci w 1956 roku ochronę nad ukrytymi dokumentami przejęła jego córka Zofia.

Ostateczne unicestwienie „Związku Organizacji Wolność i uczestników walk o niepodległość w formacjach byłej armii austriackiej" nastąpiło formalnie 8 sierpnia 1940 roku na skutek ogłoszenia przez niemieckie władze okupacyjne zarządzenia o likwidacji stowarzyszeń i związków o charakterze wojskowym, politycznym i akademickim, które opublikowano w *„Gońcu Krakowskim"*.

ppłk Stanisław Plappert

***

Podczas I wojny światowej powstawały w armiach zaborców Polski konspiracyjne związki Polaków mające na celu pracę niepodległościową. Szczególny wymiar miało to w przypadku oficerów Polaków z armii austriackiej, bo też przede wszystkim na terenie ówczesnej Galicji można było przystąpić do realizacji planów niepodległościowych w oparciu o niezwykle patriotycznie nastawione społeczeństwo oraz istniejące struktury przeróżnych — legalnie działających — stowarzyszeń społecznych (kulturalnych, oświatowych, sportowych czy paramilitarnych), a także o wiele organizacji konspiracyjnych uczniowskich, akademickich czy innych.

Polski oficer, podoficer czy żołnierz wcielony ogólnym rozkazem mobilizacyjnym w szeregi armii austriackiej tylko tak długo pozostawał lojalnym poddanym, jak długo łącznie z nim walczyły w ramach tej samej armii oddziały Legionów Polskich. Kiedy one zbuntowały się i odmówiły posłuszeństwa również polski oficer armii austriackiej przystąpił do pracy konspiracyjnej, w ścisłej łączności ideowej, a później organizacyjnej z Polską Organizacją Wojskową i jej ówczesnym komendantem pułkownikiem Edwardem Śmigłym–Rydzem.

20. galicyjski pułk piechoty miał swoje rejony werbunkowe głównie na terenie Sądecczyzny i Podhala. Stacjonował w czasie pokoju dwoma batalionami i kadrą

Biblioteka Publiczna im. J. Szujskiego w Nowym Sączu Region Wojewódzka

w Krakowie, III batalionem w Nowym Sączu, a IV batalion detaszowany był w Bielinie na terytorium Bośni. Sławny to był pułk, nazwany przez austriackie władze wojskowe „die Góralen" i rzucany zawsze na najtrudniejsze odcinki frontu. Jak pisał po latach ppłk Stanisław Plappert: *„…żołnierz cierpliwy i wytrzymały, niezwykle odważny, byle miał fajkę w zębach, bardzo oddany w rękach ludzi, którym ufał…"*. Po ogłoszeniu mobilizacji dano temu żołnierzowi oficerów rezerwy także wywodzących się w większości z Sądecczyzny i Podhala, którzy w murach sądeckich gimnazjów przesiąknęli myślą niepodległościową i wywarli później decydujący wpływ na charakter tego pułku.

Podczas I wojny światowej 20. galicyjski pułk piechoty razem razem z 57. galicyjskim pułkiem piechoty z Tarnowa, 1. pułkiem artylerii haubic i 1. pułkiem artylerii polowej z Krakowa wchodził w skład 24. brygady piechoty i wraz z 23. brygadą piechoty (3. morawski pułk piechoty, 56. galicyjski pułk piechoty z Wadowic i 100. śląsko–morawski pułk piechoty) stanowiły 12. krakowską dywizję piechoty.

Początki ruchów niepodległościowych w armii austriackiej wiążą się z kryzysem w Legionach Polskich, który zaczął się już zarysowywać jesienią 1916 roku. Na ten też okres — wg informacji ppłk. Stanisława Plapperta — datuje się początek działalności polskiej konspiracji wojskowej w oddziałach armii austriackiej, a konkretnie właśnie w szeregach 20. galicyjskiego pułku piechoty, który toczył wtedy walki w Karpatach na Przełęczy Pantyrskiej. Na zwołanym przez ówczesnego porucznika Stanisława Bergmana zebraniu oficerskim omawiano — w związku z wypadkami w kraju — sprawy narodowe. Po raz pierwszy zaczęto się zastanawiać jaką formę działania przyjąć. Postanowiono tworzyć powoli konspiracyjną kadrę w tzw. systemie szóstkowym, nawiązując równocześnie łączność z zaufanymi oficerami Polakami w innych austriackich pułkach walczących w pobliżu i to zarówno piechoty, artylerii jak i kawalerii, a następnie — wykorzystując odchodzących z frontu na urlop lub na leczenie oficerów — skontaktować się z kadrą oficerską pozostałą w garnizonach i batalionach zapasowych. Powstały zatem zalążki konspiracji wojskowej, choć bez nazwy i wielu innych atrybutów jeszcze.

Aktywność tych działań wzmogła się na wiosnę i w lecie 1917 roku już na froncie włoskim. Stało się to na wieść o rozwiązaniu Legionów Polskich i tzw. kryzysie przysięgowym oraz aresztowaniu Józefa Piłsudskiego. W październiku i listopadzie 1917 roku do 20. pułku piechoty wcielono wielu legionistów, którzy wzmocnili działającą tu już organizację. Najbardziej aktywnymi wśród nich byli porucznicy Władysław Langner i Władysław Wojakowski. Szybko nawiązali współpracę z władzami organizacji, pomagając zrewolucjonizować austriackie pułki o przewadze żywiołu polskiego. Tak pisał o tym dr Jan Czapliński: *„…porozumienie konspiracyjne przeciw*

zaborcy rozszerzyło się niemal na wszystkie rekrutujące się z Galicji oddziały. Konspiracja ogarnęła 13. pułk piechoty zwany „Krakowskimi dziećmi", dalej „Mokre bąki" czyli 57. pułk piechoty z Tarnowa, wadowickich „Jacków" czyli 56. pułk piechoty i (…) szereg innych w różnych rodzajach broni…"

Wówczas na czele organizacji w 20. galicyjskim pułku piechoty stał kapitan **Jerzy Dobrodzicki**. Najwybitniejszą natomiast rolę odgrywali w niej wtedy — oprócz niego — następujący oficerowie: kapitan **Juliusz Siwak** i porucznicy **Stanisław Bergman, Kazimierz Duch, Leopold Gebel, Józef Giza, Józef Gruszka, Edward Izdebski, Edmund Karp, Stanisław Kawczak, Władysław Kornaus, Jerzy Kossowski, Władysław Kumor, ks. Antoni Miodoński, Stanisław Plappert, Wawrzyniec Typrowicz, Jan Uryga** i **Marian Wojtowicz**.

Szczegółowe zadania Organizacji „Wolność" przedstawiały się następująco:

opanować 12. dywizję piechoty (pozbawiając dowodzenia oficerów obcej narodowości tj. Austriaków, Czechów czy Węgrów) i przemianować ją na formację Wojska Polskiego,

nawiązać kontakt z dowództwem armii włoskiej i przejść na drugą stronę frontu, uzyskując prawa strony wojującej jako WP po stronie Włoch przeciw Austrii (a gdyby to nie udało się, przedostać się z frontu do Polski w maksymalnie pełnych stanach osobowych i uzbrojeniu)[2],

dążąc do powolnej dezorganizacji oddziałów armii austriackiej przez wysyłanie do Polski — pod pretekstem leczenia lub dla dokończenia studiów — najwybitniejszych oficerów legionowych oraz niektórych oficerów rezerwy ck armii,

prowadzić akcję uświadamiającą wśród szeregowych[3],

roztoczyć opiekę nad wcielonymi do oddziałów austriackich legionistami,

utrzymać stałą łączność z naczelnymi władzami Polskiej Organizacji Wojskowej oraz kadrą 20. pułku piechoty znajdującą się w Tarnowie,

dążyć do opanowania garnizonu tarnowskiego, aby ocalić dla Państwa Polskiego znajdujące się tam zapasy sprzętu wojskowego i żywności.

Zadania te z wyjątkiem opanowania 12. dywizji piechoty jako całości zostały w przeważającej części wykonane mimo przeciwdziałania ze strony austriackich władz wojskowych, które zdawały sobie sprawę z prowadzonej przez Polaków pracy konspiracyjnej. W akcie pewnej bezradności wycofano 7 lutego 1918 roku 20. pułk piechoty z frontu, przeprowadzając dochodzenie, grożąc sądem wojennym i pozbywając się wielu oficerów z pułku pod różnymi pretekstami, a nawet dyslokując poszczególne kompanie[4]. Finałem tych posunięć było wydzielenie przez dowództwo austriackie z końcem marca 1918 roku legionistów i odesłanie ich najpierw do 48. węgierskiego pułku piechoty, a potem do rezerwy w Polsce. Po tym fakcie nakazano

20. pułkowi piechoty powrót na front nad rzeką Piavą.

W tym czasie odesłani do Krakowa oficerowie pułku nawiązali kontakt z komendantem POW płk. Edwardem Śmigłym–Rydzem. Wydatnie pomogli im w tym oficerowie legionowi kapitan Józef Kustroń i porucznik Władysław Wojakowski. W kwietniu 1918 roku doszło do pierwszego spotkania w domu przy ul. Grabowskiego 5 porucznika Wawrzyńca Typrowicza z komendantem POW. Tak pisze o tym fakcie oficer 20. pp: *„…zetknąłem się w moim mieszkaniu z pułkownikiem Śmigłym i od Niego otrzymałem zlecenie, by w najbliższych dniach zebrać zakonspirowanych oficerów. W parę dni później w tym samym mieszkaniu odbyło się to zebranie…"* 25 kwietnia 1918 roku uczestniczyli w nim ze strony pułku porucznicy **Stanisław Kawczak, Władysław Kornaus** oraz **Wawrzyniec Typrowicz** (a także por. art. ck armii Cyryl Strzelczyk), a ze strony POW płk Śmigły i por. leg. Władysław Wojakowski. Uzgodniono warunki ścisłej współpracy, wyznaczono oficerów łącznikowych, sposoby i miejsca kontaktów. Dotyczyło to zarówno oddziałów znajdujących się na różnych frontach, jak i tzw. kadry z batalionami zapasowymi stacjonującymi poza frontem. Z opracowanego wówczas trzynastopunktowego „Regulaminu Organizacji Wolność", wynikało, że *celem jest współdziałanie w przygotowaniach narodu do wywalczania niepodległej Polski* oraz, że *system Organizacji jest wojskowy, tzn. obowiązującymi są rozkaz i hierarchiczność organizacyjna*. Łącznikiem pomiędzy komendantem POW, a Organizacją „Wolność" był kapitan Aleksandrowicz. Kontakt ten urwał się jednak pod koniec września 1918 roku, kiedy to wysłany z frontu włoskiego do Krakowa kurier, nie zastał ani płk. Śmigłego, ani por. Wojakowskiego, a kpt. Aleksandrowicz w międzyczasie zmarł. Od tej chwili konspiratorzy działający w poszczególnych oddziałach armii austriackiej, musieli podejmować decyzje we własnym zakresie (stosownie do swych sił i okoliczności), konsultując jedynie z najbliższymi sąsiadami, o ile to było w ogóle możliwe.

W październiku 1918 roku działalność Organizacji „Wolność" w 20. galicyjskim pułku piechoty należy omówić z rozbiciem na trzy miejsca, gdzie jej przedstawiciele działali na rzecz niepodległości. Pierwszym był garnizon tarnowski, drugim garnizon sądecki, a trzecim front włoski nad Piavą.

***

O początkach pracy niepodległościowej w garnizonie tarnowskim napisał w swym wspomnieniach ówczesny porucznik Kazimierz Duch następująco: *„…Praca w Tarnowie wzięła swój początek po pokoju brzeskim mniej więcej w kwietniu 1918 roku. Zainicjowali ją oficerowie, którzy powrócili z frontu (…). Na kilku poufnych zebraniach przy udziale poruczników Gebla, Gruszki, Gizy i Urygi ustalono plan działania. Do*

roboty wyciągnięto i innych oficerów…"

Od początku października 1918 roku toczyły się rozmowy pomiędzy władzami konspiracyjnej Organizacji „Wolność" z batalionu zapasowego 20. galicyjskiego pułku piechoty stacjonującego w Tarnowie, a miejscową komendą POW (Władysław Dziadosz, Jan i Marian Stylińscy, Leonard Bianchi) i przedstawicielami władz miejskich (m. in. burmistrz Tadeusz Tertil). W rozmowach tych Organizację reprezentował przede wszystkim porucznik **Leopold Gebel** (adiutant batalionu), a także — poza nim najczęściej — kpt. **Wojciech Piasecki** (kierownik wyszkolenia w batalionie) i porucznicy **Józef Giza** i **Jan Uryga** (dowódcy kompanii) oraz **Józef Gruszka**. Przedmiotem rozmów i uzgodnień była sprawa współdziałania podczas planowanego przewrotu wojskowego oraz dalszego dostarczania peowiakom i harcerzom broni i amunicji, a także instruktorów.

W tym czasie dowódcą batalionu zapasowego był Węgier mjr Alexius Monszpart (sympatyzujący z Polakami, choć oczywiście nie wciągnięty do spisku). Zastępcą dowódcy był kpt. Emanuel Jakubiczka, I kompanią dowodził por. Józef Giza, a kompanią karabinów maszynowych por. Jan Uryga (zaprzysiężeni członkowie Organizacji)[5]. Prawie cały sztab batalionu oraz dowodzenie II i III kompanią spoczywało w rękach oficerów Austriaków lub Czechów. Ewentualnymi przeciwnikami akcji niepodległościowej mogły być następujące oddziały stacjonujące wtedy w Tarnowie: dwie kompanie asystencyjne komendanta garnizonu z 73. pułku piechoty (tzw. Egerlanderów)[6], kompania wartownicza (Wachdienstekompagnie), dwie kompanie z 4. pułku piechoty (tzw. Deutschmeistrów), bateria uzupełniająca 11. i 18. pułku artylerii polowej, rezerwa taborów (Trainfuhrwerke), pluton żandarmerii powiatowej. Komendantem garnizonu był generał–major Robert Pluhard. We wspomnieniach Kazimierza Ducha można przeczytać: *„…Nastroje w kadrze nieprzychylne dla Austrii wiadome były władzom austriackim. Z tego powodu coraz silniej zaczęto Małopolskę zachodnią napełniać oddziałami obecnej narodowości i ewakuować w kierunku Czech sprzęt wojskowy, żywność, drzewo i inne materiały (…). Tarnów otoczony był w kilku ważniejszych punktach oddziałami obrony narodowej gen. Schwendy, a w niedługim czasie zakwaterował się w okolicy tajemniczy batalion najwierniejszego austriackiego 4. pułku piechoty, który od czasu do czasu przemaszerowywał przez ulice w hełmach, jak gdyby znajdował się na froncie (…). Oficerów — Polaków odsyłano na front, we wrześniu zrezygnowano już ze szkolenia rekrutów…"*

Wszystkie te posunięcia austriackich władz wojskowych miały na celu osłabienie sił polskich znajdujących się w Tarnowie. Pisze o tym także ówczesny por. Stanisław Plappert: *„…Kiedy chciano (oprócz 7 oficerów Polaków) wysłać jeszcze na front kompanię żołnierską z lepiej wyszkolonych rekrutów, wtedy — bojąc się byśmy*

nie byli wodzami bez żołnierzy — por. Józef Giza zaryzykował rzecz trudną do przypuszczenia, bo oto zaraportował do Militarkommando w Krakowie: »Kompania odejść nie może z powodu 76 dezerterów«. Rzekomych zaś dezerterów odesłał do robót wokół miasta…"

W pierwszych dniach października 1918 roku udali się z Tarnowa do Bochni dwaj porucznicy Leopold Gebel i Józef Giza, aby uzgodnić z dowódcą tamtejszego batalionu zapasowego 32. pułku piechoty Obrony Krajowej „Neu Sandez" kpt. Jerzym Dobrodzickim formę ewentualnego współdziałania na najbliższy czas. W tej samej sprawie i w tym samym okresie odbyli podróż do Nowego Sącza porucznicy Jan Uryga i Władysław Małysa, gdzie spotkali się z kierującym przygotowaniami do przewrotu por. Stanisławem Kawczakiem.

Wydarzenia zaczęły następować coraz szybciej. 7 października zjawił się w Tarnowie kpt. J. Dobrodzicki i podczas zebrania z oficerską czołówką konspiracyjną (porucznicy Gebel, Giza, Gruszka i Uryga) przyjęto następujący plan działania: zebrać podoficerów i poinformować ich o planie przewrotu, przebrać żołnierzy w nowe mundury (by ocalić je przed wywiezieniem), udaremnić na różne sposoby wywożenie czegokolwiek z Tarnowa, intensywnie ćwiczyć rekrutów i utrzymywać odpowiednią dyscyplinę, wymóc na dowódcy batalionu majorze A. Monszparcie usunięcie z dowództwa II kompanii por. Wernera, a z III kompanii por. Dokladala (Czechów) i z kompanii karabinów maszynowych por. Eiserta (Austriaka), przez co wszystkie oddziały byłyby pod polskim dowództwem.

Równocześnie w samym Tarnowie od początku października trwało potajemne dostarczanie amunicji i broni dla peowiaków i harcerskiego „Pogotowia Narodowego". Karol Kawęcki komendant sekcji studenckiej POW tak napisał o tym w swej relacji: *„…na dwa tygodnie przed przejęciem władzy kompania karabinów maszynowych 20. pp zgłosiła swą gotowość dostarczenia amunicji…"*

23 października 1918 roku przez kuriera nadeszła do Tarnowa wieść, że w najbliższym czasie przygotowuje się w Polsce przewrót. Wiadomość tę przekazał kpt. Wojciechowi Piaseckiemu por. Franciszek Skurski z dowództwa dworca w Tarnowie. Tak wspomina to w relacji kpt. Piasecki: *„…obszedłem starszych oficerów Polaków, m. in. ówczesnego por. Gizę i por. Urygę, przedstawiając im sprawę i polecając odpowiednie porozumienie się z podoficerami — pewnymi i dobrymi Polakami — by odpowiednio wpłynęli na szeregowców…"*

27 października w mieszkaniu por. Klaudiusza Skwarczka–Nowogrodzkiego przy ul. Chyszowskiej doszło do spotkania przedstawicieli POW z — jak pisze obecny na nim Jan Styliński — *„…siedmioma oficerami, Polakami z 20. austriackiego pułku piechoty…"* Batalion zapasowy tegoż pułku reprezentowali wówczas: kpt. W. Pia-

secki i porucznicy K. Duch, L. Gebel, J. Giza, Stanisław Sosin, J. Uryga i gospodarz mieszkania. Po rozmowach dotyczących spraw wojskowych przyprowadzono inż. Józefa Pruchnika i dyrektora banku Mieczysława Gizberta–Studnickiego celem dokonania uzgodnień przejęcia władzy cywilnej w mieście. Jan Styliński napisał: *„…Na zebraniu tym zapadła decyzja przeprowadzenia przewrotu (…), oficerowie ręczyli za swój pułk…".* Na dowódcę przewrotu wojskowego w Tarnowie wybrano kpt. Wojciecha Piaseckiego.

30 października 1918 roku na stację kolejową dotarła depesza od por. Antoniego Stawarza z Krakowa, która brzmiała: *„Rewolucja — Rząd Polski objął władzę…".* Wieczorem w restauracji Leszczyńskiego zebrały się władze organizacji „Wolność" i wobec trudnej już do ukrycia mobilizacji oddziału peowiacko–harcerskiego, zdecydowano o natychmiastowym przeprowadzeniu akcji opanowania austriackiego garnizonu w Tarnowie, aby zapobiec ewentualnej kontrakcji, dezercjom, rabunkom i pogromom. Postanowiono obsadzić dworzec kolejowy, pocztę, starostwo, bank austro–węgierski, magazyny żywnościowe oraz wszystkie obiekty wojskowe. W ciągu nocy do godzin rannych, współdziałając z oddziałem POW, oddziałem lotnym Mariana Stylińskiego i harcerskim „Pogotowiem Narodowym" (m. in. Adam Ciołkosz, Jerzy i Juliusz Braunowie) opanowano cały Tarnów. Tak wspomina to ówczesny kpt. Wojciech Piasecki: *„…O godzinie 7.30 wszystko było przeprowadzone, asystencja i żandarmeria bez strzału rozbrojone, żywioł żydowski patrolami trzymany w szachu, polskie dowództwa i władze cywilne ustanowione i zaraz sprawnie funkcjonujące, małe zaczątki pogromowo–rabunkowe jak najenergiczniej stłumione przez obsadę rynku i ulic karabinami maszynowymi…"*

Zgromadzenie oficerskie pod dowództwem kpt. Wojciecha Piaseckiego zobowiązało poruczników Leopolda Gebla do przygotowania rozkazu dziennego, a Romana Pollaka do zredagowania odezwy do żołnierzy. O godzinie 10 rano 31 października 1918 roku zaprzysiężono na wierność „rządowi polskiemu" żołnierzy tarnowskiego garnizonu, będącego pierwszym, który dokonał udanego przewrotu na terenie Małopolski. W tym pierwszym rozkazie Wojska Polskiego po nocy zaborów napisano m. in.: *„…Z dniem dzisiejszym batalion nasz (…) staje do usług Rządu polskiego w Warszawie (…). Stańmy się jego obroną, podporą i wyrazem jego sił. Krew nasza odtąd do Polski należy i tylko za nią gotowiśmy ją przelać. Niech żyje Rząd polski! Niech żyje Armia polska! Niech żyje polski od dziś — pułk dwudziesty! …"*

Dowództwo batalionu zapasowego 20. pułku piechoty Wojsk Polskich objął najstarszy stopniem i dowodzeniem oficer tego oddziału kpt. **Emanuel Jakubiczka**, a poszczególnymi kompaniami dowodzili: por. **Józef Giza**, por. **Klaudiusz Skwarczek–Nowogrodzki,** ppor. **Stanisław Sosin**, a kompanią karabinów maszynowych

por. **Jan Uryga**. Oprócz oficerów wymienionych wcześniej w akcji przeprowadzenia przewrotu zasłużyli się także kpt. **Ludwik Ott**, porucznicy: **Franciszek Drużbacki, Adam Gielata, Ludwik Maciejowski, Leopold Muller, Roman Pollak,** podporucznicy: **Bronisław Duch, Mieczysław Duch, Edward Kocko** i **Kazimierz Tutak**. Komendantem garnizonu został płk **Kajetan Amirowicz**.

O godzinie 14, po odprawieniu z miasta oficerów obcej narodowości, nastąpiła pierwsza defilada polskiej załogi wojskowej w wolnym już mieście. Tak wspomniał te chwile kpt. E. Jakubiczka: *„Duch wolności ogarnął całe społeczeństwo (…), oddziały pokazujące się na ulicach z orzełkiem polskim na czapce witane były z entuzjazmem i wielką serdecznością, jak również z wielkim zadowoleniem przysłuchiwano się polskim komendom…"*

15 listopada 1918 roku batalion zapasowy 20. pułku piechoty opuścił Tarnów i odjechał do Nowego Sącza.

Podsumowaniem tych wydarzeń niech będą słowa Stanisława Plapperta: *„…należy stwierdzić, że cały program październikowy jest duchową własnością oficerów — Polaków z 20. pp i że nie było najmniejszego wpływu z zewnątrz. Są to fakty urzędowe, albowiem nie ma tu miejsca na opisywanie ciążącej atmosfery niepokoju i wyczekiwania, nieraz zwątpienia. Trzeba pamiętać, że byliśmy oficerami regularnej armii i byliśmy świadomi tego, co nam groziło na wypadek przedwczesnego porwania się do czynu lub nieostrożnego kroku (…). Na oficerów spadło ciężkie zadanie utrzymania żołnierzy w karności. Dopomagali im w tym podoficerowie. Toteż żołnierz polski zrozumiał, że nie pora jeszcze pójść do domu, mimo przebytych trudów czteroletniej wojny. Nie padło też ani jedno życie ludzkie, nie rozbito ani jednego sklepu i cały majątek odebrano od zaborców z inwentarzem w ręku. Na całym obszarze Małopolski Tarnów był pierwszym miastem, które zrzuciło z siebie panowanie austriackie, a batalion zapasowy 20. pp był pierwszym wojskiem w całym tego słowa znaczeniu Najjaśniejszej Rzeczypospolitej…"*

***

Początek działalności na terenie Nowego Sącza Organizacji „Wolność" wiąże się z przybyciem tam pod koniec kwietnia 1918 roku por. **Stanisława Kawczaka**, oddelegowanego dla przygotowania przewrotu. Jan Krupa w *Zarysie pracy niepodległościowej w Nowym Sączu* napisał m. in.: *„…W wykonaniu organizacyjnych rozkazów „Wolności" oberleutnant Kawczak i kadetaspirant Kicka mieli zorganizować milicję z obywateli, nadać jej charakter wojskowy, przygotować do walki ulicznej (…). W krótkim czasie, bo już z końcem maja sformowano kompanię w sile 150 bagnetów, złożoną z sekcji studenckich i kolejarskich, wyćwiczoną należycie dzięki „legu-*

nom" i oficerom armii austriackiej…"

O ile w garnizonie tarnowskim Organizacja „Wolność" działała w oparciu o własną siłę zbrojną (batalion zapasowy 20. pp) w porozumieniu z POW, o tyle w Nowym Sączu znalazła się w trudniejszej sytuacji, bo musiała — z pomocą nielicznych legionistów i zaprzysiężonych żołnierzy — Polaków ck armii — stworzyć oddział z miejscowej ludności, nastawionej (co prawda) niezwykle patriotycznie, ale bez obycia wojskowego i doświadczenia. Zarówno podczas przygotowania tego oddziału nazwanego Milicją Wojskową[7], jak i podczas samego przewrotu, główną rolę — oprócz **Stanisława Kawczaka** — odegrali następujący podporucznicy: **Franciszek Kicka, Jan Kicka, Władysław Małysa, Jan Michalik, Franciszek Szczepański, Władysław Świebocki,** chorąży **Bronisław Chruściel** i sierżant **Bronisław Bittner.** Zebrania zakonspirowanego oddziału odbywały się w budynku Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół" i na strychu Domu Robotniczego przy ul. Zygmuntowskiej. Ćwiczenia polowe miały miejsce w Zawadzie i nad Dunajcem.

Przygotowania te odbywały się w ścisłym porozumieniu z komendantem nowosądeckiej POW kpt. Bronisławem Pierackim oraz Komitetem Obywatelskim złożonym z przedstawicieli wszystkich ówczesnych opcji politycznych i działaczy społecznych. Ogromną rolę odegrali także kolejarze, którzy skutecznie paraliżowali wywożenie z miasta żywności i materiałów wojennych oraz kontrolowali ruch transportów wojskowych. W porozumieniu z por. Stanisławem Kawczakiem pozostawali, współdziałając każdy w zakresie swej służby, naczelnik warsztatów kolejowych Henryk Suchanek, urzędnik kolejowy Feliks Bulsiewicz, komendant szpitala wojskowego mjr Bronisław Sikorski, intendent szpitala kpt. Antoni Broszkiewicz, burmistrz Władysław Barbacki i inni.

Nowosądecki garnizon wojskowy oraz samo miasto opanowano rankiem 31 października 1918 roku. Internowano m. in. żołnierzy i oficerów dyonu artylerii, plutonu żandarmerii i batalionu zapasowego 10. galicyjskiego pułku piechoty z Przemyśla, składającego się w większości z Ukraińców oraz Austriaków. W relacji Stanisława Kawczaka można przeczytać: *„…Rozbrojenie tzw. „Manschaftu" dokonane zostało rankiem 31 października. Najgorsza sprawa była z 10. pp. Przewidywaliśmy rozlew krwi, toteż chcąc go uniknąć, otoczyliśmy naszymi ludźmi koszary, internując przeszło 500 żołnierzy…"*

Opanowano składy broni, amunicji i żywności oraz obiekty kolejowe. Oddział POW złożony z kolejarzy zajął starostwo, magistrat i pocztę główną. Tajny dotąd Komitet Obywatelski przekształcił się w Powiatową Komisję Likwidacyjną.

Jan Krupa w *Zarysie pracy niepodległościowej w Nowym Sączu* tak opisał tę chwilę przełomu: *„…Oddział Milicji Wojskowej zaciągnął zaraz straże i objął służbę*

bezpieczeństwa w mieście. Entuzjazm i radość mieszkańców nie miały tego dnia granic. Zrywano wszelkie oznaki niewoli…"

Jednocześnie zaistniało realne niebezpieczeństwo rozruchów społecznych, któremu należało się przeciwstawić. Zadanie to wypełnił oddział pod dowództwem por. Stanisława Kawczaka wzorowo. W tej samej pracy można przeczytać: *„…Utrzymała milicja należyty porządek i karność w mieście, utrzymała ceny na odpowiednim poziomie, udaremniła usiłowania spekulantów żywnościowych…"*

Widać z tego jasno jak wielki wkład miała Organizacja „Wolność" w przygotowaniu i przeprowadzeniu przewrotu polityczno–wojskowego w Nowym Sączu oraz utrzymaniu porządku prawnego w pierwszych dniach niepodległości.

***

Trzecim miejscem, gdzie konspiratorzy z Organizacji „Wolność" 20. galicyjskiego pułku piechoty prowadzili pracę niepodległościową był front włoski nad rzeką Piavą. Tam bowiem pod koniec I wojny światowej walczył ów pułk. Ostatnia ofensywa austriacka w tym rejonie miała miejsce w czerwcu 1918 roku i po początkowych sukcesach (głównie na odcinku, gdzie walczyła 12. dywizja piechoty, a w jej składzie 20. pp), została skutecznie udaremniona przez sabotaż za strony członków Organizacji „Wolność", którzy na rozkaz kpt. Jerzego Dobrodzickiego wstrzymali posuwanie się naprzód swoich oddziałów. Chodziło o uratowanie jak największej liczby żołnierzy i oficerów. We wspomnieniach Wawrzyńca Typrowicza można przeczytać m. in.: *„…Obydwa pułki polskie, a to 20. nowosądecki i 56. wadowicki, były stale trzymane w pierwszej linii. Kule włoskie i malaria doprowadziły do tego, że stany bojowe poszczególnych kompanii nie wynosiły częstokroć dziesięciu ludzi zdolnych do walki. Było to nowe San Domingo dla naszych ludzi. Komendy austriackie nie dowierzając pułkom polskim, przeznaczyły je na zupełną zatratę, pilnie bacząc na wszelkie ruchy niepodległościowe i otaczając szpiegami wybitniejsze jednostki…"*

Nieudana ofensywa miała dla ck armii w tym rejonie silnie rozkładowe skutki. Dowództwo austriackie rozumiejąc jaką rolę odegrali w tym nagłym zatrzymaniu się ofensywy oficerowie — Polacy, starali się wymienić ich, odsyłając do kadry w kraju, na zaplecze frontu, bądź na urlopy. Tak w lipcu 1918 roku odeszli z 20. pp m. in. kpt. J. Dobrodzicki i porucznicy Kazimierz Duch, Edward Izdebski, Edmund Karp i Jerzy Kossowski. Po odnowieniu składu pułku, wysłano go ponownie na pierwszą linię. Praca konspiracyjna trwała nadal, choć napotykała na coraz większe trudności nie tylko ze strony Austriaków, ale i poprzez straty w korpusie oficerskim. Po odejściu ww. oficerów komendę nad konspiracją objął por. Wawrzyniec Typrowicz, który miał do pomocy u schyłku wojny następujących zaprzysiężonych członków Organiza-

cji „Wolność" (poruczników i podporuczników): Stefana Buczmę, Jana Durlaka, Leona Gajewskiego, Stanisława Jarosza, Władysława Kiełbasę, Tadeusza Kleina, Władysława Kumora, Stefana Kuziela, ks. Antoniego Miodońskiego, (kapelana 20. pułku piechoty), Tadeusza Piotrowskiego, Stanisława Plapperta, Kazimierza Putka, Witolda Rybakiewicza, Mariana Serafiniuka, Stefana Skumiela, Jana Wantucha i paru innych, a także liczne grono kadetów, tzw. zastępców oficerów (był taki stopień w armii austro–węgierskiej) i podoficerów: Kazimierza Biernacika, Wojciecha Ciastonia, Jana Grondalskiego, Michała Jaješnicę, Jana Malinowskiego, Stanisława Mężyka, Juliana Nowaka, Stanisława Obrzuta, Ferdynanda Pawłowskiego, Jana Pustelnika i wielu innych. Mimo tego zaczęło brakować ludzi nadających się do pracy konspiracyjnej, zwłaszcza wśród szeregowych. Prócz oficerów wciągnięci zostali do działania organizacyjnego wybitniejsi podoficerowie, którzy mieli duży mir wśród żołnierzy i bezpośredni do nich dostęp. Z końcem września 1918 roku liczba zakonspirowanych podoficerów i szeregowych (wg wspomnień W. Typrowicza) wynosiła około 60 osób. Praca polegała wówczas głównie na budzeniu ducha narodowego wśród żołnierzy i utrzymywaniu dyscypliny, aby uratować pułk i w jak największej liczbie i sile powrócić do Nowego Sącza. Utrzymywano także stały kontakt z kpt. Juliuszem Siwakiem, który z oddziałami uzupełniającymi pułku przebywał w tylnej linii i prowadzono także kontrwywiad kierowany przez pracującego w cenzurze pułkowej chor. Antoniego Reinera.

Rozłam frontu włoskiego nad rzeką Piavą nastąpił 29 października 1918 roku, gdy 12. dywizja piechoty zaczęła się wycofywać z San Dona di Piava. 20. pułk piechoty cofał się we wzorowym porządku, osłaniając odwrót dywizji, podczas przepraw przez rzeki Livenza i Tagliamento. Trasa marszu wiodła przez miejscowości Portogruaro, Palmanova i Dolinę Wippach. Wokół działy się „dantejskie sceny" — atakujący Włosi, zdemoralizowane i rozlatujące się oddziały ck armii (celowali w tym Czesi oraz Węgrzy), powszechny chaos, braki w zaopatrzeniu i bardzo dokuczliwa zimowa wręcz pogoda. Dzięki ogromnemu wysiłkowi konspiratorów z Organizacji „Wolność" 20. pułk piechoty w pełnej karności dotarł na terytorium Słowenii. We wspomnieniach Stanisława Plapperta można przeczytać m. in.: *„W czasie odwrotu dodatnią rolę odegrał ks. Antoni Miodoński, który swym pogodnym usposobieniem utrzymywał dobry nastrój wśród żołnierzy i zachęcał ich do zachowania karności oraz posłuchu swoim oficerom — Polakom…"*

Pierwszy przewrót nastąpił 3 listopada 1918 roku w taborach pułku, gdzie dowodził por. Wawrzyniec Typrowicz. Zrzucano z czapek „bączki" austriackie i przypięto biało–czerwone kokardki. Z powodu znacznego jednak oddalenia od 20. pułku piechoty, nie było możliwości przeprowadzenia wspólnej akcji. Na wieść o przewro-

cie w taborach dowództwo austriackie chciało je rozbroić, ale dzięki zdecydowanemu przeciwdziałaniu oficerów — Polaków z 20. pułku zrezygnowano z tego pomysłu. Ten stan przejściowy nie mógł trwać długo, gdyż nastroje wśród oficerów — Polaków i żołnierzy nie pozwalały na dalsze tolerowanie dowództwa austriackiego. 10 listopada nastąpił przewrót w samym pułku. Dotychczasowy dowódca pułkownik Richter ustąpił, a zgromadzenie oficerskie wybrało na dowódcę 20. pułku piechoty najstarszego rangą oficera — Polaka por. Stanisława Plapperta. Nie obyło się przy tej okazji bez dramatycznych scen. W relacji ww. oficera można przeczytać m. in.: *„…Wolę zgromadzenia oficerskiego zakomunikowano żołnierzom co zostało przyjęte z entuzjazmem. Poczuli się prawdziwym Wojskiem Polskim o czym tak długo marzyli. Przewrót odbył się bezkrwawo, chociaż początkowo zanosiło się na walkę. Dotychczasowy dowódca pułku wydał polecenie zaatakowania taborów i aresztowania przywódców ruchu niepodległościowego (…). Dzięki interwencji adiutanta pułku kpt. Safarika, który zdążył wytłumaczyć płk. Richterowi, iż po aresztowaniach zbolszewizowani żołnierze wymordują wszystkich swoich dotychczasowych przełożonych, w ostatniej chwili płk. Richter zaniechał walki i sam oddał się wraz ze swoimi oficerami Niemcami pod opiekę poruczników Typrowicza i Plapperta. Na taką jego decyzję wpłynęła także zdecydowana postawa pułku, która zmusiła do respektu i uległości oficerów innych narodowości (…). Praca uświadamiająca Organizacji „Wolność" wydała swoje owce. Żołnierze byli przygotowani do przewrotu i nie ulegli pokusie samowoli i dezorganizacji jaka nastąpiła w innych pułkach (…). Utrzymywanie dyscypliny w czasie odwrotu było niezbędne ze względu na zupełne rozprężenie frontu, na konieczność aprowizacji i obronę przed Włochami. Zapał oficerów i żołnierzy, iż są już Wojskiem Polskim dodawał im sił i otuchy. Był to jak gdyby marsz Legionów Dąbrowskiego z ziemi włoskiej do polskiej przy brzmieniu poprzednio niedozwolonej w pułku pieśni »Jeszcze Polska nie zginęła«…"*

Pieszy marsz 20. pułku piechoty znad rzeki Piavy do Brezovicy na terytorium Słowenii trwał szesnaście dni. 13 listopada 1918 roku nastąpiło przeformowanie pułku w dwa bataliony po wydzieleniu z niego żołnierzy i oficerów obcych narodowości. Dowódcą całości został por. **Stanisław Plappert**, a jego zastępcą por. **Wawrzyniec Typrowicz**. I batalionem dowodził por. **Władysław Kiełbasa**, a poszczególnymi kompaniami porucznicy: **Stefan Kuziel, Witold Rybakiewicz, Stefan Skumiel** i **Kazimierz Trzciński.** Natomiast dowódcą I batalionu karabinów maszynowych został por. **Kazimierz Putek**, a kompaniami dowodzili porucznicy: **Tadeusz Piotrowski, Marian Serafiniuk, Władysław Graczyński** i **Stanisław Namaczyński**. W Brezowicy pułk w sile około 1.200 żołnierzy i oficerów został zawagonowany. Komendantem straży porządkowej odpowiedzialnym za sprawny załadunek był zastępca oficera

Stanisław Mężyk, który wywiązał się z tego zadania znakomicie. Zabrano ze sobą 110 koni, 36 karabinów maszynowych, 2 działa, kuchnie polowe, sprzęt telegraficzny i telefoniczny, amunicję i zapas żywności na ponad tydzień. Resztę taboru (w tym ponad 200 koni) zgodził się doprowadzić do kraju ppor. **Józef Kwaśniak**[8].

14 listopada 1918 roku o godzinie 9 wieczorem pociąg ruszył ku Polsce w kierunku na Lubljanę, Graz, Wiedeń, Bratysławę i Bogumin. W ciągu tej podróży czterokrotnie bezskutecznie próbowano pułk rozbroić lub zarekwirować wiezioną żywność (Słoweńcy, dwukrotnie Austriacy i Czesi). Tak to wspominał ówczesny por. Stanisław Plappert: *„...Najwięcej kłopotu było w Wiedniu–Matzleinsdorf, gdzie chciano wyładować cały transport. Polecono więc żołnierzom przyjąć zbrojną postawę. Wyładowano karabiny maszynowe na dachy wagonów, wystawiono je przez drzwi i okna, oddano parę ostrzegawczych strzałów. Ostatecznie po okupieniu się kilkoma sztukami bydła i kilkoma workami mąki komenda dworca, chcąc uniknąć walki z nastawionymi bojowo transportem zdecydowała się dostarczyć nową lokomotywę. Aby przypadkiem nie zatrzymano jej na granicy w Ludenburgu posadzono na niej podoficera z wartownikiem (...). W Boguminie Czesi próbowali transport zatrzymać. Nie wdając się w dłuższe rozmowy, otworzono ogień z karabinów maszynowych, a w międzyczasie przestawiono zwrotnicę..."*

W ten sposób 17 listopada 1918 roku 20. pułk piechoty dotarł na terytorium Polski, a 19 listopada był owacyjnie witany na dworcu kolejowym w Nowym Sączu[9]. Tutaj nastąpiło połączenie w sądeckim garnizonie oddziałów, które wróciły z frontu włoskiego z batalionem zapasowym pułku przybyłym wcześniej z Tarnowa oraz Milicją Wojskową pilnującą porządku w mieście i najbliższej okolicy. Powstał więc 20. pułk piechoty Wojska Polskiego, przemianowany 1 grudnia 1918 roku (rozkazem nr 12 Polskiej Komisji Wojskowej) na 1. pułk strzelców podhalańskich. Tymczasowym dowódcą pułku został kpt. **Juliusz Siwak**.

W ten sposób zakończyła się konspiracyjna praca niepodległościowa prowadzona przez Organizację „Wolność" w szeregach byłego 20. galicyjskiego pułku piechoty na froncie włoskim. W raporcie kpt. J. Siwaka z 1. pułku strzelców podhalańskich skierowanego do Dowództwa Okręgu Podhalańskiego w Nowym Targu przeczytać można m. in.: *„...Porucznik Plappert swą energią, a równocześnie taktem, utrzymał pułk w karności i poszanowaniu dla władzy tak dalece, że był przedmiotem podziwu i szacunku dla ludów wśród których maszerował (...). Porucznik Typrowicz był prawą ręką dowódcy pułku i zadanie to nadzwyczaj trudne wypełnił doskonale. Od Piavy aż do Nowego Sącza tak oficer jak i żołnierz otrzymywał całą menaż i pobory w czasie kiedy inne pułki obdarte wprost głodem przymierały. Nie mogę również zamilczeć o kapelanie pułkowym ks. Antonim Miodońskim, który gorącymi słowy*

podnosił upadającego ducha, zagrzewał do wytrzymałości, a swoim taktem i powagą łagodził nieporozumienia jakie tu i ówdzie między żołnierzami powstawały. Przebywając nieustannie między nimi wpajał w nich poczucie honoru żołnierza polskiego i miłość ku ziemi ojczystej, do której dążyli…"

Słowa te stanowią najlepsze podsumowanie komu personalnie (pośród wielu dzielnych oraz zasłużonych oficerów i żołnierzy, o których była wyżej mowa) zawdzięcza odrodzona w listopadzie 1918 roku Polska doprowadzenie do Nowego Sącza gotowego do służby wojskowej pułku, który zresztą od pierwszych chwil włączył się do walki w obronie jej granic.

***

Podsumowaniem działalności Organizacji „Wolność" niech będą słowa profesora Piotra Łossowskiego, który w książce pt. *Zerwane pęta* napisał mi in.: *„…Dużą rolę w przejęciu władzy w Galicji odegrali wojskowi Polacy z armii austriackiej (…). POW i legioniści również byli aktywni, odgrywając jednak rolę drugoplanową…"*

Jest to w historiografii tego okresu opinia dość wyjątkowa, ale odpowiadająca tamtej rzeczywistości. Oddaje — choć lakoniczne — hołd Polakom w mundurach cesarsko–królewskiej armii.

Działalność Organizacji „Wolność" w 20. pp przysporzyła Skarbowi Państwa Polskiego sprzętu wojennego i artykułów żywnościowych, a także wielu milionów ówczesnych koron w gotówce, zatrzymanych w bankach w Tarnowie i Nowym Sączu. Dała zwarty, dobrze wyszkolony i wyposażony o wysokim morale oddział wojskowy. Pisał o tym w 1937 roku ówczesny senator RP dr Kazimierz Duch: *„…Faktem jest, że 20. pp dzięki temu, że był gruntownie przygotowany do wykonania przewrotu, dokonał go na froncie w sposób zabezpieczający mu możność powrotu z bronią do kraju, zaś w kadrze dokonał rozbrojenia Austriaków wcześniej niż Kraków. Faktem jest również, iż pełnił on służbę od listopada 1918 roku jako najsprawniej zorganizowana jednostka od granicy czeskiej po San, zasilając kompaniami marszowymi oddziały walczące w Małopolsce Wschodniej (…). Jeżeli z tego powodu nikt nie czynił specjalnego rozgłosu, to dowód, że nie dla sławy i uznania ludzie ci pracowali (…). Za tę pracę jej uczestnikom nie dano dotychczas żadnej — nawet moralnej — satysfakcji, choć tu rozbrojono zaborców o 12 dni wcześniej niż w Kongresówce…"*

W tym samym tonie wypowiadał się wówczas ppłk. Stanisław Plappert, który napisał m. in. *„…Historyk pisząc kiedyś dzieje narodzin Państwa Polskiego nie będzie mógł przejść do porządku dziennego nad rolą 20. pułku piechoty, który zaczął naszą armię w Małopolsce. Ponieważ o tym cicho dotychczas było, notuję tych*

kilka zdań z obowiązku, jako naoczny świadek, by w pamięci potomnych pozostały…"

P.S. Autor wyraża serdeczne podziękowania Państwu Marcie i Adamowi Polusom za udostępnienie archiwaliów dotyczących Organizacji „Wolność".

Przypisy:

1. Tak pułk ten zwano, ponieważ na sztandarze pułkowym widniał wizerunek Matki Boskiej z Ludźmierza na Podhalu, a jedna z ówcześnie używanych monet o wartości 20 grajcarów nazywała się w potocznej mowie „Zwanzieger".
2. Z dowództwem włoskim nawiązał kontakt por. Stanisław Kawczak (ówczesny dowódca II kompanii karabinów maszynowych) wraz z ppor. Edmundem Karpem i ppor. Marianem Serafiniukiem. Dowództwo włoskie zaproponowało masową dezercję, obiecując zorganizowanie ochotniczych formacji WP. Propozycja ta została przez władze Organizacji „Wolność" odrzucona.
3. Zadaniem tym kierowali przez pewien czas porucznicy Kazimierz Duch, Józef Giza i Władysław Kumor.
4. Pozbawiono dowodzenia batalionami kapitanów Jerzego Dobrodzickiego i Juliusza Siwaka, a do Polski odesłano m. in. poruczników Bronisława Ducha, Stanisława Kawczaka, Władysława Kornausa czy Wawrzyńca Typrowicza. Najbardziej „niesforne" kompanie — techniczną por. Stanisława Bergmana, I oraz II karabinów maszynowych por. Jana Urygi i por. Kazimierza Ducha usunięto daleko od pułku dla odbywania męczących ćwiczeń, robót fortyfikacyjnych i drogowych czy osłony lotniska.
5. Konspiratorzy składali przysięgi o następującej treści: *„Wstępując do Organizacji „Wolność", świadomy jej celów i zasad, przysięgam na mój honor i Ojczyznę, że będę wedle sił i możności obowiązki swoje spełniał najgorliwiej, że będę rozkazy Organizacji wypełniał przed wszystkimi innymi, że dochowam ściśle tajemnicy istnienia, składu i prac Organizacji"*.
6. W relacji kpt. Wojciecha Piaseckiego: *„…Asystencja prawa ręka krakowskiego Militarkommando i Wiednia, przeznaczona do strzeżenia ducha rządów austriackich we wszystkich jego przejawach składała się ze stu osiemdziesięciu bagnetów chłop w chłopa Niemcy z Chebu (Eger), żandarmeria przeważnie Rusini, Czesi i Niemcy. Stan moralny bardzo dobry…"*
7. W archiwum Związku Organizacji Wolność zachowały się dokumenty, na podstawie których można przytoczyć nazwiska wielu żołnierzy tego oddziału Milicji Wojskowej. Byli to: Józef Antoń, Władysław Bereś, Józef Bieniek, Eugeniusz Boratyński, Józef Cięciel, Michał Habratowski, Edmund Herold, Piotr Jasiński,

Władysław Kondolewicz, Feliks Kosiński, Michał Liszka, Jan Łosiowski, Stanisław Łożański, Adolf Mann, Wojciech Mrówka, Stanisław Pawlik, Eugeniusz Piętoń, Michał Smoroń, Antoni Tomaszek, Władysław Urasiński, Stanisław Wąchadło i Józef Zyzda. Do 1939 roku istniało w Nowym Sączu „Stowarzyszenie Byłych Ochotników Milicji Wojskowej", którego prezesem był Władysław Kondolewicz, a sekretarzem Józef Bieniek. W piśmie skierowanym do władz Związku Organizacji Wolność można przeczytać m. in.: *„…Koło byłych ochotników Milicji Wojskowej z roku 1918 na Walnym Zebraniu uchwaliło przystąpienie w dniu 5 marca 1939 roku do Organizacji…"*. Pół roku później wybuchła II wojna światowa, a „Stowarzyszenie Byłych Ochotników Milicji Wojskowej" nigdy się już nie odrodziło. Nie wiadomo też czy zachowała się jakaś jego dokumentacja.

8. W raporcie dowództwa 1. psp z grudnia 1918 roku podpisanym przez kpt. J. Siwaka można przeczytać m. in.: *„…Ppor. Kwaśniak zgłosił się dobrowolnie dla uratowania majątku narodowego, by doprowadzić do kraju tabor, którego nie można było załadować wraz z pułkiem…"* Z zadania wywiązał się znakomicie przyprowadzając 10 grudnia 1918 roku do stacji zbornej w Wieliczce 200 koni. Był to wyczyn nie lada, zważywszy jaką trasę przebył i w jakich odbywało się to warunkach.
9. Poza 20. pułkiem piechoty z bronią w ręku do Polski powróciły — choć bardzo osłabione — wadowicki 56. pułk piechoty oraz jarosławski 90. pułk piechoty. Powrót nowosądeckiego pułku w takim stanie był zaiste wyczynem niezwykłym.

Władysława Lubasiowa

INTER ARMA

Podczas wojny milczą Muzy (inter arma silent Musae) — czyż sprawdza się ta łacińska sentencja? Spójrzmy w historię i dzieje literatury — nie znajdujemy potwierdzenia, a jeżeli chodzi o Polskę i drugą wojnę światową — łatwo możemy to sprawdzić. Oto bowiem powstawały wiersze, pieśni poematy... na biwakach między bitwą a bitwą, w obozach, więzieniach i w okupowanym kraju, w którym najeźdźca systematycznie niszczył kulturę podbitego narodu.

Wsławione legendą starożytne Muzy — nie tylko odwiedzały Warszawę i Kraków, lecz zdarzało się im zabłądzić i do całkiem małych miejscowości.

Nowy Sącz... czyż mógł być wyjątkiem? Już przed wojną nie był kulturalną pustynią. Posiadał czasopisma, dwa amatorskie teatry, zespoły śpiewacze i muzyczne, poetów, artystów malarzy, a co najważniejsze grono zdolnych pedagogów, wśród których wybijali się poloniści. Nic też dziwnego, że młodzież zapragnęła mieć swoje własne miejsce wypowiedzi — i tak powstały czasopisma uczniów szkół średnich — najpierw *„Lot"*, a później *„Zew Gór"*.

W ostatnim, jubileuszowym (pięćdziesiątym) numerze *„Zewu Gór"* redaktorzy żegnając czytelników na okres wakacyjny nie przeczuwali, że jest to pożegnanie na zawsze. Ci, którzy właśnie zdali maturę, zwracali się do młodzieży pozostającej jeszcze w murach szkolnych z życzeniami najlepszych wyników w przyszłej pracy nad wspólnym dobrem. *„My, koledzy, idziemy budować Polskę"* — kończył swój wstępny artykuł redaktor naczelny, lecz zaraz dodał: *„i potrafimy nie tylko ufundować karabin, lecz gdy znajdzie potrzeba — zwalczać wroga, zwalczyć samego siebie i przyczynę naszego zła. I słowa dotrzymali..."*

Los sądeckiej młodzieży nie odbiegał od losu całego tego pokolenia Polaków: wojsko, więzienia, obozy i często przedwczesna śmierć.

Kiedy pozbieraliśmy się po różnych ucieczkach i perypetiach, w które obfitowały pierwsze miesiące wojenne — już zaczął się ciężką zimą rok 1940. Wtedy to odżyły nasze przyjaźnie zapoczątkowane w pracy redakcyjnej *„Zewu Gór"*. Niestety — zabrakło **Henryka Einhorna**, nie wszyscy też mieli ochotę powracać do pióra.

Spotykaliśmy się najczęściej w willi „Marya" (ul. Jagiellońska) u koleżanki **Heleny Barbackiej**. Czy też w naszym mieszkaniu przy ul. św. Kunegundy 16. Tu dodatkowo przyciągał obfity księgozbiór. Tak się bowiem złożyło, że siostry niepokalanki, u których zdawałyśmy maturę i ja, i moja siostra Danuta, musiały usunąć z klasztoru nękanego „odwiedzinami" okupanta księgozbiór szkolny, szczególnie podręczniki do nauki literatury polskiej i historii, jak też lektury, aby uchronić je przed konfiskatą i zniszczeniem. I tak szafy pełne książek znalazły się w naszym obszernym przedpokoju. A gdy największy pokój przylegający do niego zabrano na kwaterę — i umieszczono w nim zaprzyjaźnione z Niemcami „panienki", zresztą politycznie nieszkodliwe, my, na co dzień używający wejścia przez kuchnię, nieoficjalnie zatrzymując klucze od przedpokoju, mogłyśmy swobodnie, za zezwoleniem sióstr czy też z ich polecenia, wyposażyć książki potrzebne do tajnego nauczania i dokształcania się. Należało tylko dobrze uważać, kiedy „panienki" odwiedzają ich opiekunowie.

Wtedy to przychodziła też do mnie koleżanka, również redaktorka *„Zewu Gór"*, **Halina Szurmiakówna**, która w Krakowie kontynuowała tajnie, przerwane wojną studia. Często przywoziła wiersze z literackiego podziemia Krakowa i zabierała nasze. (Niestety, w styczniu 1945 roku, podczas walk o Nowy Sącz, skaleczona w nogę odłamkiem pocisku, po kilku tygodniach zmarła na zakażenie krwi).

Czytaliśmy nasze wiersze w szerszym koleżeńskim gronie, ale parających się twórczością była nas czwórka: **Jerzy Kłosowski (Niemojowski), Zdzisław Wróblewski**, Helena Barbacka (Ślepiakowa) i ja, **Władysława Szkaradkówna (Lubasiowa)**.

Ze szkoły i z domu wynieśliśmy kult Piłsudskiego. Zarówno Kłosowski — jak ja również — drukowaliśmy w *„Zewie Gór"* wiersze poświęcone temu Wodzowi Narodu. Nic też dziwnego, że po dniach klęski i utracie suwerenności jawił się nam jako niezwyciężony bohater narodowy, którego duch ukryty i odkrywany na nowo w historii, natchnie naród do walki o wolność.

Zaginął wiersz, który wówczas napisałam, a w którym Józef Piłsudski, jako nieśmiertelny Król–Duch narodu szedł przez kraj — i mimo zniszczeń widocznych na każdym kroku nawoływał — nie traćcie wiary i nadziei i zagrzewał do podjęcia walki. Wierszyk krążył po mieście przepisywany ręcznie (nie miałam wówczas żadnego dojścia do maszyny do pisania) — i zaginął. Natomiast wśród kilku wierszy wojennych moich przyjaciół, które odnalazłam w moim przepastnym, staromodnym kre-

densie — jest wiersz Jerzego, oparty o przeżycia z jego wrześniowej tułaczki z wojskiem, owiany też duchem Piłsudskiego.

Na ziemi dzwony postaci otulone w poczwarki koców,
na szaragach zmieszane w półmrok przyczajone czołgi plecaków:
świtowi trudno i zimno po bielonych ścianach się toczyć
lub na wgłębnej płachcie sufitu lecącymi rękami płakać.

Na podłodze jest słomie matowo i jest szaro oddechom ludzkim —
słońce przyjdzie, by znowu po nocy źdźbła do życia lśniąco obudzić;
po wrześniowych fletniach poranku przyczajony czołga się grudzień —
nie masz słowa w żadnych plakatach — tylko z planszy się patrzy Piłsudski.

Siwa szkoło — z białych jodeł szkoło! — wytętniono z ciebie młode życie:
warkoczami siwych niepokojów idą bruzdy w chłopięce oblicza —
świt się złamie na ramach okiennych i w nijakich zwiędnie kolorytach
i nie będzie wychudzonych dłoni, by szaragom paciorki przeliczać.

Na Brzeżańskich pagórkach rzuceni jak latawce ugodzone w kadłub
przyszłościami napełnim te sale jak koszyki jabłonią i gruszą —
latarkami wyjarzonych oczu w poprzek losom i świtom się ruszym
i grzybniami napiętych na dłoniach żył błękitnych popłacimy nasz dług,

Słońce przyjdzie, by znowu po nocy źdźbła do życia lśniąco obudzić,
po siwicach ścian popełznie jutro — poranione ściernią pragnień ludzkich —
na kasetach okien tępe krzyże: w amaranty owije je grudzień! —
burzanami, zaporożem źrenic biły pieśni i patrzył Piłsudski.

Tutaj chciałabym zrobić małą dygresję. Ponieważ zauważyłam, że piszący o Kłosowskim Niemojowskim — mają kłopoty z jego nazwiskiem — przytaczam wyjątek z jego listu, gdyż on sam już w żadnej sprawie głosu zabrać nie może.

„Hampstead 15 września 1974. (…) PS. Nie róbcie żadnych machlojek z moim nazwiskiem. Z ubolewaniem stwierdzam, że moje nazwisko oficjalne i paszportowe brzmi: Jerzy Kłosowski Niemojowski i nie ma na to ratunku, i zgodnie z angielskim zwyczajem używam drugiego nazwiska jako tzw. »surname«, a także do celów literackich. »Jerzy Niemojowski« jest skrótem a nie pseudonimem".

Napisał to w związku z moją prośbą o zezwolenie na druk jego wierszy w antologii, którą zamierzało się wydać w N. Sączu — lecz do wydania której nie doszło.

Zdzisław Wróblewski — przyjaciel Kłosowskiego — w tych latach naszej młodości — któremu Jurek poświęcił piękny wiersz *„Legenda o chłopcu — poecie"* — po wojnie odszedł od poezji i mieszkając w Warszawie wydał kilka powieści.

Wówczas lubiłam jego pełne uczucia wiersze. A najbardziej *„Słowa we mgle"*:

Siostro — ulic nie wypłaczesz, siostro — mgły nie utulisz…
Oto czerwone słowa neonów, oto cisza chłodnych katedr —
drzewa na nieba witrażu bolesny, ciężki ołów
i żółte gromnice latarń w smukłych ołtarzach ulic…
Siostro — weź księżyca blady opłatek
i przełam się ze mną, jak dawniej, u wilijnego stołu.

Dnie: ulice zasnute burymi płachtami deszczu —
Wawel — Wisłą szept o wszystkim dalekim, i wciąż dalekim…
Idę, poeta swych smutków, mostom całować stopy
i smukłość wspomnień pieścić.
Noce: litery domów otulone nirwaną mroku.
Litery domów. Trudne słowo: miasto.
Siostro — do słów twych bladych nazgarniaj obłoków
i gwiazd trzepotliwych nachwytaj, nim zgasną.

Wieczory tak się wloką, tak wloką…
… szarą i ciężką mgłą.
Wczoraj — wiesz — wsłuchany w szelest twych kroków
zrozumiałem. I popiół szary opadł na usta…
Wiesz, neony nie są światłami —
jeno ludzką pienistą krwią!

Hela Barbacka — wolała pisać prozą — lecz po aresztowaniu Bolesława Barbackiego, kiedy wszelki ślad po nim zaginął, napisała uczuciowy wiersz poświęcony stryjowi, który jej zastępował wcześnie zmarłego ojca.

Boli wspomnienie dobrych chwil,
niewypłakane łzy gorące —
Pomyśleć — On tu zawsze był,
przez wszystkich lat miesiące.

Najprostszym — zdaje się chwilami,
pracowni otworzyć drzwi —
Stanąć pomiędzy sztalugami…
Jak to się często teraz śni.

Portrecik Kaji, akt Danusi,
czy zadrzemany stary Jan…
Ktoś tu powrócić zaraz musi,
ku drzwiom te oczy patrzą z ram.

Dlaczego nie słychać kroków?
Schną pędzle, czekają płótna —
Pokój zatapia się w mroku
i cisza stygnie przesmutna. —

Jakże dziś trudno się obudzić,
w skargę uwierzyć nagich ścian.
Nie słyszę poszeptów ludzi —
wiem, że On jest teraz tam.

Wystarczy mi drzwi uchylić,
aby w świetle jasnej smugi
ujrzeć, jak w wieczoru chwili
stawia na jutro sztalugi.

I po cóż wszystko — przecież wiem,
słyszę to, powtarzam sama —
Rozpływa się obraz ze snem —
puste zostają mi rama.

Imponował mi Jurek Kłosowski swoją wiedzą, znajomością literatury. Jednak dając mu do przeczytania jakiś wiersz czułam się niepewnie, zależało mi na tym co

powie — a nie miałam wiary w swoje możliwości. Zdarzało się, słuchałam jego rad i poprawiałam to czy owo… Jak w tym oto przytoczonym wierszu:

I odchodzi krajobraz, z nim brzozy i buki,
i jabłonie te z raju, i mych lat dwadzieścia…
I kładą się na ścierniach białe dymu smugi —
to jest pogorzelisko moich pieśni.

Bo nagle — co tu mówić —
każde słowo zgasłe,
każde słowo jak kamień
tylko wargi gniecie…
Nie czas żałować progu,
kiedy giną miasta,
choć tam była podkowa
przybita na szczęście.

Ktoś sprzedał swoje dłonie
za łzą przeżarty piastr…
Słońce na twarz pobladłą
zsunęło kwef anieli…
Żałobnym korowodem
przez zgliszcza wsi i miast —
idą strudzone dziewczyny
skrwawione płótno bielić.

Jerzemu ten „piastr" nawet dość się podobał — oryginalniej niż srebrnik, a każdy pieniążek może być symbolem zdrady w odpowiednim kontekście — zauważył — ale ten „kwef anieli"… jak z bożonarodzeniowej szopki…

I w rezultacie przeobraziłam ostatnią zwrotkę, a że wówczas byłam znów pod urokiem *Antygony* — napisałam:

Z tragedii Sofoklesa
wiatr słowa roznosi
tam, gdzie nie pogrzebanych
właśnie grzebią domy.
Żałobnym korowodem

przez rudy mech i wrzosy
idą pobladłe dziewczyny
bielić płótno skrwawione.

Wiersze nasze krążyły nie tylko wśród znajomych. Wypływały też na miasto. Nie były podpisywane w ogóle, nawet fikcyjnymi nazwiskami. A że krążyły również wiersze przepisywane z dawnych kalendarzy czy książek — jeżeli tylko treść ich odpowiadała ówczesnym uczuciom patriotycznym — przeto o pomyłkę co do autora, nie było trudno. I mnie to spotkało.

W książce **Bronisławy Szczepaniec** pt. *Służba Ojczyźnie Nowosądeckich Harcerek i Harcerzy 1939–1945* (Nowy Sącz 1992) znajduje się wiersz pt. *„Więzień"* poprzedzony taką notatką:

„Wiersz napisany przez Władysławę Szkaradek–Lubasiową po tragedii na Wysokim i przesłany matce Zbyszka Posłusznego". — Wiersz ładny — ale nie mój! I ja nie przesyłałam żadnego wiersza pani Posłusznej. Ktoś posłał, czy dał i powiedział widocznie, że to mój... Pani Szczepaniec umieściła go w dobrej wierze — szkoda tylko, że nie porozumiała się ze mną. Ja wprawdzie wówczas też napisałam wiersz pod tytułem *„Więzień"* (druk: *Wzdłuż drogi* Warszawa 1985) — ale jest to całkiem inny wiersz i zupełnie niepodobny w nastroju. Więzień w książce B. Szczepaniec czerpie siłę z wiary.

... „Potem je wezmą na skrzydłach anieli
i będą nieśli owe łzy samotne
na białych skrzydłach przed niebiańskie trony
do stóp Marii Królowej Korony".

Natomiast „mój więzień" jest pełen rozgoryczenia. W wigilię Bożego Narodzenia pisze do matki w liście:

... „Gdyby z zawieją, co w noc dmie,
u progu Twego spaść na ziemię,
a Ty nauczyłabyś mnie,
że Bóg się zrodził w Betlejemie —
wierzyłbym w łaskę jego rąk
i w gwiazdę, co Trzem Królom błysła,
gdybym przez świeczek jasny krąg
mógł się na Ciebie patrzeć z bliska ..."

Przypuszczam, że w wierszu przedrukowanym w książce B. Szczepaniec chodzi o więźnia z poprzedniej, ponad stuletniej niewoli — to sugerują wersy:

„A los mu znaczył cierniową koronę.
Już się od wrogów nie spodziewał łaski"…

— Czyż więzień z lat czterdziestych naszego wieku spodziewałby się łaski od hitlerowców? To do cara zwracano się o łaskę i… do Bieruta! Ot, mroki historii.

Nie wydaliśmy konspiracyjnie naszych wierszy — ani wspólnie, ani ktoś w pojedynkę. I może jeszcze do dzisiaj, na czyimś starym strychu, butwieją bezimiennie w porzuconych i zapomnianych szpargałach.

Z końcem 1941 roku dostałam kartę na wyjazd na przymusowe roboty do Rzeszy. Nie zgłosiłam się. Uciekłam i wymeldowałam się ze Sącza. Do wiosny 1943 roku pracowałam w Piwnicznej–Kosarzyskach w kamieniołomie i przy regulacji potoku Czercz. Gdy powróciłam do rodzinnego miasta, kolegów już w nim nie zastałam — i Jerzy Kłosowski, i Zdzisław Wróblewski aresztowani przez gestapo wywiezieni zostali do obozów koncentracyjnych.

Zaczęłam pracować w Polskim Komitecie Opiekuńczym i znalazłam się pod zwierzchnictwem i opieką znanej działaczki społecznej — **Jadwigi Wolskiej**. Wolska nie tylko pomagała więźniom legalnie i nielegalnie, ale też zajmowała się wysiedlonymi i różnego rodzaju biedotą. Pomimo tego znajdowała czas na pewną, nielegalną również, działalność kulturalną.

Życie okupacyjne przytłaczał strach i usiłowania, aby zdobyć kawałek chleba. Nawet walka podziemna — jakże często miała mało wspólnego z wyobrażeniami wysnutymi z literatury romantycznej. Przychodziły chwile, kiedy zaczynało się tęsknić za zwykłym ludzkim szczęściem, za spokojem w domach i na ulicach — bez łapanek i wiecznej obawy, że nocą do drzwi załomocze gestapo. I za sztuką tęskniło się: za muzyką, teatrem, poezją … *„Tylko świnie siedzą w kinie"* — to był popularny osąd społeczeństwa. Kina — to była propaganda okupanta i metoda na ogłupianie niewolników.

Toteż sztuka godna Polaków musiała zejść pod ziemię.

Jadwiga Wolska udostępniła swoje obszerne, przedwojenne mieszkanie na swojego rodzaju — „Teatr słowa" — gdzie mogliśmy podziwiać Juliusza Osterwę. **Juliusz Osterwa**, znany artysta scen polskich, zagrożony w Krakowie aresztowaniem, na zaproszenie krewnych żony, **Stefanii** i **Adama Stadnickich**, znalazł wraz z rodziną schronienie w pałacu w Nawojowej.

W teatrze, na scenie, słowo nawet jeżeli jest najważniejszym elementem prze-

życia — to nie jedynym… Dekoracje, światło, ubiory, różne rekwizyty, wszystko to usiłuje pomóc słowu — lecz często przeszkadza. Tu — słowo stawało się jedynym przekazem wzruszenia. Duch twórcy słowa unosił się w powietrzu — a nie duch reżysera.

Na takich „wieczorach artystycznych" — przeważnie Osterwa nie występował sam — brali też udział inni miłośnicy sztuk — błąkający się po Nowym Sączu. W latach sześćdziesiątych, za zezwoleniem **Matyldy Osterwiny**, miałam możność przeglądnięcia diariusza artysty pisanego przez wiele lat. Odnotowałam kilkanaście zdań tyczących jednego z tych naszych spotkań.

> *„2 stycznia 1944. Niedziela. Po obiedzie u p. Wolskiej — ks. Łoś grał na skrzypcach, p. Skawińska na dźwiękoskrzyni. Czytano wiersze i wierszyki: Władzi, p. Anczarskiej, Tobiasza, i Reguły Mieczysława. Był i Hamlet czytany. Słuchały panie, ksiądz, profesor rysunków"…*

W dzienniczku Osterwa o swoich występach pisze bezosobowo: *„Był i Hamlet czytany", „Czytany II akt Wyzwolenia", „Czytana Antygona"* itp. Mnie wspomina po imieniu — tylko raz, pisząc o naszym poznaniu, podaje nazwisko. Należy też dodać, że „dźwiękoskrzynia" — to fisharmonia. Osterwa za jedną ze swoich misji uważał spolszczenie słów obcobrzmiących.

Takie „spotkania" odbywały się też u **Marii Ritter**, jak również w okolicznych dworach. Naturalnie piszę tylko o tym, w czym brałam udział osobiście — a to nie była jedyna działalność kulturalno–artystyczna (podziemna) w naszym okupowanym mieście i powiecie, może tylko ze względu na udział Osterwy znalazła szerszy oddźwięk.

Dyrektor muzeum teatralnego w Warszawie, dr **Józef Szczublewski**, w swojej książce *Żywot Osterwy*, korzystając właśnie z diariusza artysty, wspomina taki występ pana Juliusza u Zofii Turskiej w 1943 roku.

> *„W Tymbarku, w dworku znajomych, 12 IX wobec kilkunastu słuchaczy czyta przy świecach II akt Wyzwolenia. Pod wrażeniem tego jedna ze słuchaczek — Szkaradkówna — łączniczka z Armii Krajowej — napisze wiersz Dokąd idziesz, Konradzie, dedykowany Osterwie i wręczony mu nazajutrz w Nowym Sączu. Fragment konspiracyjnego wiersza brzmi: »Nawet Maska żadna się nie stara myśli Twoje na światło wyciągać i badać. Za oknem Ostrej ściana i poszepty wiatru, i Beskid zbuntowany repetuje broń. A Ty oparty o czas, którego już nie ma, o los się trwożysz Polski, która jutro będzie«"*.

W książce Szczublewskiego pod tym wyjątkiem jest znak (AO) — co oznacza (Archium Osterwy). Jak pamiętam jednak — to ten wrześniowy „artystyczny wie-

czór" obejmował jeszcze i muzykę Szopena i moje wiersze — też słuchaczy było znacznie więcej — bo otworzono drzwi do przyległeo pokoju, a pod otwartymi oknami stali w ogrodzie jacyś młodzi ludzie. A występy zakończyły się moim wierszem:

Do Marii z „Warszawianki" —
Mario, zagaś te dźwięki (spąsowała cisza).
Mario! wiem już, przeczuwam — na śmierć go wysyłasz,
by potem krwawą wstążkę rozsnuć na klawiszach —
i grać pieśń przepaloną...

Wiersz ten napisałam w 1941 — lecz po powstaniu warszawskim przedostatnią zwrotkę zmieniłam co nieco.

W sierpniu 1944 „wpadłam" — jak to się wówczas mówiło. Na całe szczęście, gdy gestapo przyszło po mnie, nie nocowałam w domu. Rodzeństwo już się wcześniej „ulotniło". Teraz jednak i ja musiałam uciekać. Znalazłam się w beskidzkim lesie pod opieką kapitana „Hali", który współpracował z oddziałem partyzanckim „Tatara".

Drugiego listopada, w Dzień Zaduszny, przyszliśmy w kilkoro, z kapitanem i jego żoną, na mszę polową, która została odprawiona na polanie w obrębie obozu „Tatara". Mszę odprawił młody ksiądz, jak się później dowiedziałam, był to wikary z parafii w Biegonicach. Oto ostatnia zwrotka wiersza, który wówczas napisałam:

Przed Twym ołtarzem stoimy bez winy —
już nas namaścił kapłan rozgrzeszeniem...
Czyżby bez winy?
Przecież się modlimy —
o wrogów naszych śmierć!

Takie były z Muzami zbratania, w owe wojenne lata, na skrawku ziemi u południowych granic Polski.

Andrzej Zarych

WIERSZE

nienarodzonemu

jeszcze cię nie ma
już myślę jak
opowiem ci kiedyś
świat poczuję ciepło
twojej dłoni w swych
niezgrabnych grubych palcach
z twardym naskórkiem
oprowadzę cię po
najdalszych pokojach
marzeń pokażę
najtajniejsze zakręty świata
wciąż drżę
że moja miłość zmieni się
w krwawą plamę

nocny podglądacz

łza
zasłania dziurkę od

klucza szmer powietrza
w płucach zakłóca
ciszę nasycaną jękiem
rozkoszy
raz, drugi, trzeci a
potem znów to samo
z niepokojem patrzę
wtedy na sufit czy
oni nigdy nie przestaną
łza spłynęła
pozostała
tylko bezsenność
i zazdrosne wspomnienia
wywołane przez zbyt
cienkie ściany

niemoc

jak ciężko pleść warkocz
słów zgrabnie poukładanych
gładkich lśniących
wypolerowanych zachwytem
wbrew chęciom i siłom
włażą na siebie z buciorami
niechętnie rozpychają się łokciami
z tramwajową grzecznością
ograbiane z pełnych portfeli
znaczeń dalekich i bliskich
zostaje niesmak i rozpacz
że wciąż nie umiem pisać wierszy

nadzieja

co miesiąc serce
drży z niepokojem
gardło spinają klamry strachu
o ból, krzyk i bezradność
maleńkiej istoty która
być może zaczęła istnieć
nigdy nic nie wiadomo
nadzieja
lekarz

od lat to samo
boję się i pragnę końca
nadziei

moja ulica

kałuże
wybrukowane błotem
mijają rozmowy kół
ślepe latarnie z
ukrytym wzrokiem
dziury okien od czasu do czasu
wyrzucające ciekawską twarz

co dzień kochają się
na tym samym łóżku wypluwają
swą miłość
człowiek
podglądający z ulicy jest
im nieobecny
nie mają płaczu
jest za szybą

modlitwa

Panie Boże spraw
bym się nie mylił
Twoja mądrość opadła
na nas ciężarem
puchu
wszystkich weź albo
zostaw w spokoju
Panie Boże spraw
byś istniał

męskość

kiedy bierzesz do ręki
łopatę jesteś
swój chłop
z butelką piwa nikt
nie zwraca na ciebie
uwagi omijają
człowieka z brudnymi butami
pokaż że lubisz
mieć w ręce pióro
i nie cierpisz
brudu za paznokciami
dla wielu będziesz
tylko
imitacją mężczyzny

XXX

miasto upstrzone
papierami stroszy
skrzydła do lotu powoli
przytupem bierze rozbieg

ogłasza defiladę gasnących
wypluwa z namysłem
istoty już siódma czas
do roboty

modliszka

pragnienie ciebie jest
silniejsze niż chęć
kołatania sercem do
innych stóp po tobie
nie mam już
nic co mógłbym
choćby próbować rozdać
nie wiem kim
jesteś kochanką
czy modliszką

XXX

w dwie osoby łatwiej
przeskoczyć przez mur niechętny
jakimkolwiek ingerencjom
uścisk dłoni jak trwoga w teatrze
oddech jak śpiew
trudniej się wtedy tylko
rozstawać i
mówić, że w dwie osoby
łatwiej

Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. J. Siskiego
Region
w Nowym Sączu

XXX

w nocy
dopadają mnie obrazy
świata — lęki nie—
usuwalne
płaczę za śmierć, grzechy
podłości żałuję
śmiechu
nienasycenia chciałbym
jeszcze raz odkupić winy
ale wiem że ktoś
dawno temu znacznie lepiej
to zrobił i
nic się nie zmieniło

Lustro

patrzę w twarz zielonych oczu
brwi krzaczaste skrzywione
usta czasem w podłym uśmiechu
zdrowie? czy nie szwankuje?
nie — to dobrze
bądź zdrów jedyny
życzliwy mi człowieku

Józef Bieniek

Z cyklu: Sądeczanie u Andersa

RÓD RACIĘSKICH cz. I

Ilu ich było w II Korpusie? Trudno dociec. Spotykamy ich nazwiska na wszystkich włoskich cmentarzach wojennych lat 1943–1945. Leżą tam między tymi, którzy startując z italskich pól bitewnych pragnęli szlakiem praojców dotrzeć z ziemi włoskiej do Polski. Nie doszli: na drodze stanęła śmierć, zapisując nazwiska na biało–kamiennych kartach cmentarnych Ksiąg Pamięci.

Spotykamy ich nazwiska także wśród żyjących, którzy przenieśli się z **Andersem** do Wielkiej Brytanii, gdzie czepiając się wszelkich możliwości budowali Emigracyjną Polskę, a w tej tułaczej „Ojczyźnie" zabiegali o stworzenie punktów oparcia dla własnej egzystencji. Zdobyli je ludzie z inicjatywą, wyposażeni w odpowiedni zasób rozmachu, bezwzględności, siły przebicia i szczęścia.

Tak zresztą zawsze bywa: w mglistej Anglii, czy słonecznej Italii — przed szczęściarzami otwierają się wszystkie drzwi; idealiści i fajtłapy — wegetują. Ale kiedy o sądeczan chodzi — wspomnijmy o jednym z tych, do których brytyjski los uśmiechnął się szeroko.

***

Zbigniew Edward Racięski urodził się 28 września 1906 r. w Nowym Sączu, w ojcowskiej kamienicy, przy ul. Jagiellońskiej 44, a ostatni etap życiowej drogi urządzili mu — rodzina i koledzy w piątek 21 lutego 1997 r., w kościele św. Andrzeja Boboli w Londynie, przy 1 Leysfield Road.

Ale między przyjściem, a odejściem — los przydzielił Racięskiemu prawie 91 lat wypełnionych mnóstwem szalenie ciekawych przeżyć i zdarzeń. Nim zaczniemy

je wymieniać — musimy się cofnąć w głąb przeszłości i odszukać szczególnie ciekawe i zawikłane korzenie rodu Racięskich.

***

A więc dziadek. **Edward Schirnböck von Reuthstetten** urodził się 24 stycznia 1845 r. w Stopfenreuth w Dolnej Austrii, w rodzinie nauczyciela muzyki. Ale młody Austriak obierając zawód nie poszedł w ślady ojca: zamarzyły mu się gwiazdki, ordery i awanse. Służbę wojskową rozpoczął jako elew w Wojskowej Niższej Szkole Realnej w Wiedniu.

W 1860 roku widzimy go w 10. pułku artylerii, z miejscem postoju w Budapeszcie. Tu zdobył pierwsze awanse i ukończył dwuletnią szkołę pułkową. W maju 1866 r., po awansie na porucznika został przeniesiony do 20. pułku piechoty w Nowym Sączu. I tak się zaczęły jego serdeczne związki z naddunajeckim grodem i rodem Racięskich.

Ale nie od razu. Były kolejne awanse i krótkie okresy służby w Krakowie, w Niepołomicach, Pilźnie i w Brnie. W 1902 roku otrzymał awans na generała brygady (Generalmajor) armii austriackiej, stając się jednym z dwóch generalnych adiutantów cesarza **Franciszka Józefa I**. Po awansie, przez jakiś czas mieszkał w Wiedniu.

W 1910 r., po odejściu w stan spoczynku, przeniósł się na stałe do Nowego Sącza i zamieszkał we wspomnianym domu, u córki **Marii Racięskiej**. Tu zresztą mieszkała od paru lat żona generała, **Wiktoria z Reinfussów**, która zmarła w 1925 r. i pochowana została na sądeckim cmentarzu miejskim, przy ul. Rejtana. Generał zmarł 3 lata później, 16 X 1928 r. i spoczął na tymże cmentarzu, obok żony.

Zmęczeni daleką drogą — poprzez obce kraje, wojskowo–frontowe trudy, przygody, ordery i awanse — usiądźmy przez moment na granitowej płycie generalskiego grobu na sądeckim cmentarzu i odpoczywając odczytajmy jedyny na tej nekropolii napis:

„Edward Schirnböck de Reuthstetten
em. generał
ur. 1845 zm. 1928
Wiktoria Schirnböck de Reuthstetten
żona generała
ur. 1851 zm. 1925
Cześć ich pamięci!

A teraz ruszmy dalej śladami Racięskich, szlakiem dalekim i trudnym. Zacznijmy od rodzinnego domu, przy ul. Jagiellońskiej 44. Bo dom ten także ma swoją historię. Jego właścicielem był rasowy ziemianin, **Bolesław Racięski** herbu Pomian.

Nie był, jak podają różni — ani dyrektorem, ani właścicielem „małego banku". Był przez wiele lat gospodarzem majątku w Mogilnie. Po jego sprzedaży zakupił w Nowym Sączu przy ul. Jagiellońskiej dwa okazałe domy. Część pieniędzy ulokował w Sądeckiej Kasie Zaliczkowej, stając się tym samym współwłaścicielem Kasy i członkiem zarządu. Ale idylle finansowe mają to do siebie, że rosną, albo rozpadają się i giną. W pewnym momencie, z różnych powodów, Kasa Zaliczkowa popadła w poważne kłopoty finansowe, grożące likwidacją. W tym wypadku mężem opatrznościowym, a raczej kozłem ofiarnym, stał się Racięski: aby ratować sytuację — sprzedał jeden z domów, przy ul. Jagiellońskiej nr 42 **Feliksowi Borowczykowi** i spłacił zadłużenie Kasy, przeznaczając dom sąsiedni, pod 44, na siedzibę rodu Racięskich.

To właśnie tu, w małżeństwie Bolesława i Marii Racięskich przyszli na świat: jedynaczka **Zofia**, **Tadeusz**, **Włodzimierz** i bohater niniejszego szkicu, supergwiazda publicystyki, podporucznik czasu wojny i kapitan z powojennej, honorowej nominacji gen. Andersa: Zbigniew Edward.

Ale jeśli o Racięskich mowa — warto dodać, że był to bardzo ciekawy ród, przykład jeden z wielu dla czasów zaboru austriackiego, zwłaszcza w Nowym Sączu, wrastania w społeczność polską wybitnych osobistości pełniących na zajętych terenach różne czołowe funkcje. A także przykład owoców jakie to wrastanie przyniosło.

Zacząć trzeba jednak od sprostowań i wyjaśnień. Mianowicie, biografowie Zbigniewa Racięskiego, a także on sam, uparcie twierdzili, że żona generała, a więc babcia Racięskich, była czystej krwi wiedenką.

I tu zaczyna się dwutorowy spór. Jedni twierdzą, że pani generałowa pochodziła ze Starego Sącza, z rodziny Reinfussów, której protoplaści przywędrowali do Starego Sącza z Austrii, w ramach szeroko prowadzonej przez Wiedeń akcji zasiedlania zagarniętych terenów.

Druga wersja, ściśle rodzinna, trzyma się twardo twierdzenia o czysto wiedeńskim pochodzeniu babci generałowej. Sprawa byłaby do rozwiązania, gdybyśmy wiedzieli, gdzie i kiedy odbył się ślub generała, bo sięgając do ksiąg danej parafii zdobylibyśmy potrzebne dane. Ale na razie nie róbmy z Popradu Dunaju i trzymajmy się rodzinnych wersji.

Również pewne wątpliwości nasuwa twierdzenie, że rodzina Racięskich była dwujęzyczna. Nie ulega wątpliwości, że Pani Generałowa, obojętne — z Wiednia czy ze Starego Sącza — język niemiecki znała doskonale. Używała go jednak przede wszystkim w rozmowach z mężem i z odwiedzającymi go kolegami. Na naukę języka niemieckiego przez rodzinną młodzież nacisku większego nie kładła, o czym świadczą następujące fakty.

Generalski syn, Leopold Schirnböck, ukończył w Nowym Sączu Szkołę Podsta-

wową im. Adama Mickiewicza, a później I Gimnazjum im. Jana Długosza. Po maturze studiował na Uniwersytecie Jagiellońskim matematykę. Po okresie asystentury, wykładał ten przedmiot w obydwu sądeckich gimnazjach.

Kapitalną charakterystykę tej dwujęzyczności sformułowała córka profesora Leopolda, **Irena Schirnböck – Ombachowa**:

> *„Ojczystą mową Dziadka był język niemiecki, ale polskim też się dobrze posługiwał. Czasem tylko odezwał się do mnie po niemiecku, ale języka tego w ogóle mnie nie uczył. Tak samo jak mój Ojciec. Będąc w szkole średniej musiałam brać korepetycje z języka niemieckiego, ponieważ mój nauczyciel »prześladował« mnie uważając, że panna Schirnböck powinna znać doskonale język niemiecki, a wcale tak nie było".*

No i jakoś tej dwujęzyczności forsowanej przez czystej krwi wiedenkę w rodzinie Racięskich dostrzec nie możemy. Młodzi: Zofia oraz Włodzimierz, Tadeusz i Zbigniew z podstawami języka niemieckiego zapoznali się na pewno w domu, ale głównym źródłem nauczania były lekcje w I i II Gimnazjum oraz w Gimnazjum Żeńskim. Ostateczny szlif — to owoc rozmów z dziadkiem, babcią i matką.

W tych rodowodowo–językowych niedomówieniach jedno jest ważne: czy generał miał za żonę wiedenkę lub starosądeczankę — związek ten był owocem wielkiej miłości, która przecież nie zna granic, rangi i tytułów. I druga pewność: to przecież pod okiem Pani Generałowej wyrosła gromadka młodzieży, która mówiła także po niemiecku, ale myślała tylko po polsku, i szła przez życie niosąc ową polskość z godnością i honorem. Jak sztandar!

Ale czas najwyższy wziąć na warsztat Zbigniewa. Jak zostało już stwierdzone urodził się 28 września 1906 r. w Nowym Sączu. W 1924 r. ukończył I Gimnazjum im. Jana Długosza. Z wypełnionym samymi „piątkami" świadectwem dojrzałości rozpoczął studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, gdzie w 1928 r. uzyskał magisterium.

W latach 1928–1930 studiował prawo międzynarodowe oraz nauki polityczne i ekonomię na Institut des Hautes Etudes Internationales przy Wydziale Prawa Uniwersytetu w Paryżu, osiągając oprócz dyplomu brązowy medal za wybitnie wysoki poziom odbioru wiedzy.

Z końcem 1930 r. podjął pracę w Ministerstwie Komunikacji. Po 6–cio miesięcznej praktyce przydzielono go do Wydziału Traktatowego, na stanowisko kierownika referatu niemieckiego. To już zapachniało dyplomacją i karierą. „Obiecujący młodzian" — jak go oceniała zwierzchność — w ramach etatowych obowiązków pełnił funkcję sekretarza międzyministerialnej delegacji resortów: Komunikacji, Spraw Za-

granicznych, Sprawiedliwości, Poczt i Telegrafów oraz Sztabu Głównego.

Delegacja ta w styczniu i lutym 1933 r. prowadziła w Berlinie rokowania z podobną delegacją niemiecką. Tematem rozmów były sprawy zmian w Konwencji z 1920 r. dotyczących uprawnień tranzytowych Niemiec przez Pomorze i Gdańsk.

W końcu 1933 r. przeniesiony został na własną prośbę do Departamentu Lotnictwa Cywilnego Ministerstwa Komunikacji, do Działu Prawno–Politycznego. Z tytułem radcy.

W 1934 r., a następnie w latach 1935–1938 był sekretarzem generalnym stałej Konferencji Aeronautycznej Państw Bałtyckich i Bałkańskich. Konferencja ta powołana z inicjatywy Polskich Linii Lotniczych „Lot" od roku 1933 corocznie w końcu września w Warszawie, miała na celu udoskonalenie obsługi i bezpieczeństwa na trasie Helsinki — Tallin — Ryga — Warszawa — Lwów — Czerniowce — Bukareszt — Sofia — Ateny.

W konferencji tej, poza stroną polską, brali udział przedstawiciele lotnictwa cywilnego Finlandii, Estonii, Łotwy, Rumunii, Bułgarii i Grecji.

W 1936 r. Racięski, nadal w Departamencie Lotnictwa Cywilnego, objął referat Umów i Organizacji. Również i w tym roku wszedł w skład Komisji Prawniczej CINA (Commission Internationale della Navigation Aerienne) oraz w skład CITEIA (Commission Internationale des Experts Juridiques Aeriens). Obie te instytucje miały swe siedziby w Paryżu i dla obsłużenia ich posiedzeń wojażował Racięski raz po razie na linii Warszawa — Paryż. A że kongresy coroczne odbywały się w różnych miastach, latał także Racięski do Hagi i Kopenhagi.

W 1938 r. brał udział jako drugi delegat Polski (pierwszym był prof. **Leon Babiński**, radca prawny MSZ) w międzypaństwowym Kongresie Cywilnego Prawa Lotniczego w Brukseli, na którym przeprowadzono nowelizację Konwencji Warszawskiej z 1929 r.

W maju 1939 r. Racięski zorganizował w Krakowie Conference Aeronautique Europenne, w której udział wzięli czołowi przedstawiciele lotnictwa cywilnego Francji, Niemiec, Wielkiej Brytanii, Włoch, Szwajcarii i Polski. Przewodniczył wiceminister Bobkowski. Poza Racięskim w skład delegacji wchodzili: dyrektor Lotnictwa Cywilnego mjr obs. mgr prawa **Zygfryd Piątkowski**, dyrektor PLL „Lot" mgr inż. pilot **Wacław Makowski**, wicedyrektorzy PLL „Lot" mjr obs. **Ludwik Seyfert** i dr **Henryk Górecki**.

Poza udziałem w międzynarodowych organizacjach związanych z lotnictwem cywilnym brał udział Racięski od 1937 r. w negocjacjach międzypaństwowych dotyczących eksploatacji przez PLL „Lot" linii zagranicznych.

Czytając powyższe — nie będzie przesadą twierdzenie, że Racięski, wybitnie

zdolny, o wyjątkowo aktywnej inteligencji i sile przebicia, był na najlepszej drodze ku ministerialnym szczytom, gdyby… No właśnie.

W sierpniu 1939 r., gdy setki jego kolegów i znajomych otrzymywało karty mobilizacyjne — Zbigniew, nie mając za sobą podchorążówki, zgłosił się na ochotnika do wojska, z przydziałem do 5. pp Legionów w Wilnie. Jako strzelec z cenzusem.

Pierwsze strzelania oraz rekruckie „padnij…", „powstań" — otrzymał na wileńskim Antokolu, w kompanii dowodzonej przez zakamuflowanego komunistę, kapitana **Eugeniusza Milnikiela**.

Wileńska wojna strzelecka z cenzusem trwała tylko do 17 września 1939 r. Cofając się pod naporem wojsk sowieckich — przekroczyli granicę litewską i zostali internowani. W wytworzonym bałaganie — Racięski wykorzystał jakąś lukę i zwiał, z najszczerszym zamiarem dotarcia do wojska polskiego we Francji. Nie wyszło. Aresztowany przez NKWD w momencie próby przejścia granicy, zamiast do Coëtquidan (pierwszy polski obóz organizacyjno–szkoleniowy w Bretanii) trafił do więzienia. Najpierw w Moskwie, skąd niezidentyfikowany, ale za „biełyje ruki" i za kartę wileńskiego pułku, przekazany został do Mińska, gdzie urzędował sąd NKWD, zajmujący się „jeńcami" z wileńskich formacji WP.

Więzienie w Mińsku należało do najcięższych na Białorusi. Tu była główna składnica akt radzieckiego wywiadu na kierunku: Warszawa — Białystok — Grodno — Wilno. W tysiącach teczek personalnych znajdowały się drobiazgowe dane dotyczące osób pełniących bardziej odpowiedzialne funkcje w rządzie RP, wojsku i parlamencie, dowódców, oficerów i żołnierzy Korpusu Ochrony Pogranicza, aktywu policyjnego, prokuratorów i zespołów sędziowskich, całej kadry szkolnictwa od powszechnego po uniwersyteckie oraz ogromnej rzeszy działaczy społecznych, politycznych i zawodowych.

Toteż wyjątkowo okrutne były w Mińsku metody śledcze, a wyniki badań prowadziły zawsze w tych samych kierunkach: rozwałka na miejscu, „zachęcenie" więźnia do podjęcia pracy na rzecz NKWD (efekty raczej znikome), a najczęściej wysyłka do któregoś z łagrów w północno–wschodnich połaciach ZSRR.

W zasobach mińskiej „mordowni", pod szyldem NKWD, znajdowały się także teczki braci Racięskich. Włodzimierzowi udało się wyrwać z sieci NKWD i wrócić do Nowego Sącza. Tadeusz i Zbigniew — dostali się w tryby machiny śledczej NKWD, pod zarzutem szpiegostwa. Ze szczególnym, obłędnym wręcz sadyzmem maglowano Zbigniewa. Jego studia polityczne w Paryżu, wybitna pozycja w Ministerstwie Komunikacji i udział w agendach zagranicznych odnotowane z absolutną dokładnością — z góry przesądzały los Zbyszka. Przeszedł ciężkie śledztwo, oberwał, na co w żadnym wypadku nie zasłużył, i po wielu tygodniach poniewierki i udręki — otrzymał

„wyrok": 10 lat pracy w łagrze, na obszarze Komi (Komi ASSR).

Zaraz po wyroku, z dużą grupą skazańców został przetransportowany do stolicy Komi, Syktywaru, przed oblicze specjalnej komisji rozmieszczającej więźniów po różnych łagrach, zgodnie z wysokością wyroku i opiniami mińskiej Delegatury NKWD.

Zbigniew Racięski został osadzony w obozie położonym w lasach nad rzeką Wyczegdą, w rejonie miasta Kotłas, tuż u stóp zachodniej części Uralu.

Nic jednak o łagrowych losach nie zostało ustalone, poza krótkimi, bardzo niechętnie udzielonymi przez Zbigniewa informacjami na temat obozowej gehenny. Niechęć ta była zresztą objawem zupełnie naturalnym i zrozumiałym: niełatwo wracać do okresów straszliwej poniewierki, gdy nad każdym więźniem łagru wisiał, godzina po godzinie, ponury cień męczeńskiej śmierci.

***

A tymczasem? Aby nie stracić nic z ojczyźnianego dorobku Racięskich — zajmijmy się przez moment żoną Zbigniewa — mgr **Stanisławą ze Styczyńskich Racięską**, także studentką Sorbony. Pochodząca z rodziny znanych w Nowym Sączu rzemieślników i społeczników, ukształtowana w arcypolskim klimacie sokolstwa, skautingu i harcerstwa — stanowiła szczytową kumulację patriotyzmu i aktywności społecznej.

Te właśnie wartości sprawiły, że przemiła pani magister, popularna w gronie kolegów i znajomych męża „Pani Stasia", z dniem wybuchu wojny zaciągnęła się w służbę poniewieranej przez hitlerowski „gang" Ojczyzny.

Najpierw był dramatyczny apel bohaterskiego Prezydenta Warszawy, **Stefana Starzyńskiego**. Poszła więc w szeregi sanitariuszek — niosąc pomoc rannym i kontuzjowanym w ciężkich walkach broniącej się stolicy. Po kapitulacji, 28 września, już w początkach października postawiła swoje mieszkanie przy ul. Gdańskiej 2 i siebie, na nowym posterunku ojczyźnianej służby: pomoc uchodźcom do Polskich Sił Zbrojnych za

Zbigniew Edward Racięski z żoną Stanisławą zdjęcie sprzed 1939 r.

granicą.

Już w połowie października od Wilna, Grodna, Białegostoku i Brześcia, a nawet spoza litewskiej granicy, zaczęła spływać do Warszawy fala rozbitków wrześniowych armii, głównie różnych stopni oficerowie i podoficerowie, którzy wymknąwszy się śmierci, ranom, niewoli i różnym osaczeniom ze strony gestapo i NKWD — usiłowali znaleźć drogę tam, gdzie pod biało–czerwonymi sztandarami zaczęły powstawać orężne hufce do drugiego etapu wojny o wolną Polskę.

Wśród setek domów patriotycznej Warszawy, które stanęły do pomocy uchodźcom — mieszkanie Racięskich miało jeszcze i tę cenną wartość, że właściciele byli sądeczanami z zamożnych i mocnych polskością rodzin. Tu też, raz po razie meldował się dyskretnie ktoś ze znających korzenie rodowe Racięskich, z prośbą o pomoc.

Pani Stasia nie odmówiła nigdy nikomu. Porozumiała się przede wszystkim z harcerskim koleżeństwem w Nowym Sączu, zapraszając do odwiedzin tych, którzy by mieli coś do załatwienia w stolicy. W ten sposób zorganizowała małe grono przewodników, którzy odbierali oczekujących w jej domu uchodźców i przewozili do Nowego Sącza, gdzie działały komórki przerzutu przez polsko–słowacką granicę.

Ten właśnie dom wspomina **Julian Zubek** ps. „Tatar" na pierwszych stronach swej książki *Ze wspomnień kuriera*. Stąd w początkach 1940 r. odebrał, przewiózł do Nowego Sącza i przerzucił na słowacką stroną kilka paroosobowych zespołów oficerskich.

Ilu uchodźców przeszło przez dom Racięskich, korzystając z noclegów, kuchni, a często i z funduszy Pani Stasi — nie da się ustalić. To nie był czas na robienie ewidencyjnych zapisów. Istniał zresztą, wydany przez władze podziemne, ostry zakaz notowania działań konspiracyjnych, a zwłaszcza adresów i nazwisk, bo każdy taki zapisek, gdy wpadł w ręce gestapo — powodował katastrofalne następstwa, powiększając szeregi zamordowanych i wywiezionych do obozów.

Od czerwca 1940 r., gdy wojska niemieckie zagarnęły Francję, i od kwietnia 1941 r., gdy ten sam los spotkał Jugosławię i Grecję — drogi uchodźców na Zachód i Bliski Wschód zostały zamknięte. Uchodźctwo przestało mieć sens, ale wtedy ci, którym nie udało się pójść w świat — wrośli w krajowy ruchu oporu, poszerzając i umacniając jego działalność. To postawiło Panią Stasię w nowej sytuacji i wobec nowych zadań. Wielopokojowe mieszkanie przy ul. Gdańskiej 2 stało się kwaterą dla kilkunastu ukrywających się pod lewymi nazwiskami i lewą dokumentacją oficerów — aktywistów ZWZ – AK.

Dla Pani Racięskiej nastał czas bezustannych zabiegów związanych z wyżywieniem i utrzymaniem „lokatorów", z których każdy na kilometr „śmierdział" konspi-

racją, dywersją i innymi czynnościami w czołówce podziemia. Taka praca, rodząc przeświadczenie, że w każdej chwili może się zjawić gestapo z „zaproszeniem" do gmachu przy Alei Szucha 120, skąd dalsza droga — to najczęściej okrutne śledztwo, plac kaźni lub Oświęcim — nie zmogła dzielnej Gospodyni: odważna, ofiarna i zdeterminowana — poszła dalej w głąb podziemnego frontu, ku nowym obowiązkom i zadaniom.

Miała przecież za sobą kursy w Przysposobieniu Wojskowym Kobiet i Czerwonym Krzyżu w zakresie sanitariatu stacjonarnego i polowego. I ten rodzaj wiedzy, bardzo cenionej w sztabach AK, wyznaczył Pani Stasi aktualne stanowisko: kierownictwo Działu Zaopatrzenia Sanitarnego dla oddziałów AK w dzielnicy Żolibórz, ze Szpitalem Ujazdowskim, jako bazą dostawczą środków medycznych i opatrunkowych.

Jesienią 1942 r. zjawiła się u Racięskiej jej młodsza siostra, Marysia, wdowa po rozstrzelanym 11 XI 1941 r. pod Ścianą Śmierci w Oświęcimiu sędzim Sądu Grodzkiego w Nowym Sączu, mgr. **Zbigniewie Butscherze**. Jedna z czołowych aktywistek sądeckiej AK, osaczona przez gestapo, zdołała szczęśliwie „zmylić pogonie" i wylądowała przy ul. Gdańskiej 2. Pani Stasia przyjęła siostrę serdecznie i zaraz swoimi chodami wystarała się dla niej o dokumenty na lewe nazwisko. Zatrudniła ją też na fikcyjnym etacie w znajomej firmie „Bracia Pakulscy", przy ul. Koszykowej. To pozwoliło Butscherowej, zachowując sądeckie pseudo „Baśka", wejść w drugi etap akowskiej roboty, na warszawskim bruku, i stać się prawą ręką komendantki grupy, siostry Stanisławy.

Oprócz działalności sanitarnej Pani Stasia zorganizowała w swoim mieszkaniu, w ramach Rady Głównej Opiekuńczej (RGO) magazyn zaopatrzeniowy, z którego szły paczki żywnościowe, z bielizną i lekarstwami dla więźniów obozów koncentracyjnych i jenieckich. I tu też sądecka „Baśka" odwaliła kawał roboty związanej z pakowaniem i wysyłką paczek na wskazane przez siostrę adresy.

Wszystko to zmieniło się 1 sierpnia 1944 r. w godzinie „W". Wybuch powstania popędził obydwie sądeczanki na bojowy front. Też do zadań sanitarnych, tyle, że zwielokrotnionych do którejś tam potęgi. Krążąc chyłkiem między grupami powstańczych ognisk oporu, poprzez trupy, kanały, ruiny i gorejące pożarem połacie ulic, jakoś zdołały wyjść z powstańczego piekła cało i bez kontuzji, ale z nerwami w strzępach, z sercem gnącym się pod ciężarem bólu i żalu: z miasta zamienionego w gruzy, z tysiącami ludzi poległych, zamordowanych, zasypanych bez ratunku w piwnicach rozwalanych domów. Również z domu przy Gdańskiej 2, w którym mieszkali Racięscy i mieszkania wspaniale wyposażonego w piękne antyki oraz cenne obrazy znakomitych mistrzów.

Trafiony bombami dom — zamienił się w gruzy, a co jeszcze ostało się — zdzi-

czałe hordy własowców zrabowały i spaliły.

Zaraz po kapitulacji powstania tysiące mieszkańców stolicy musiało opuścić miasto. Racięska z siostrą również. Otoczeni chmarą wartowników i konwojentów dotarli pieszo do stacji kolejowej w Pruszkowie, gdzie nastąpił podział: starzy, ranni i chorzy pojechali do różnych miast, na żebraczy chleb społecznej łaski; żołnierzy powstańczej armii i osoby zdolne do pracy — załadowano do wagonów i skierowano do obozów jenieckich. Obie sądeczanki też. Ale harcerska zaprawa i gwałtowne pragnienie wolności zrobiły swoje. Wypatrzyły odpowiedni moment, gdzieś w rejonie Milanówka: udany skok, parenaście metrów opętańczego biegu i wolność, jeszcze problematyczna, stała się faktem. Pod koniec października zameldowały się obie w rodzinnym domu, przy ul. Jagiellońskiej 3.

Racięska, otoczona troskliwą opieką rodziny, rychło wróciła do pełnych sił. Pozbywszy się warszawsko–powstańczych kompleksów, zaczęła myśleć tylko o jednym: jakim cudem dostać się do męża. Wiedziała o nim tyle, że żyje i służy w armii gen. Andersa na froncie włoskim.

To myślenie, na razie jałowe — stawało się pogłębione i poszerzone. Także w sensie organizacyjnym. Tuż „za ścianą" rodzinnego domu, w narożu ulic Sobieskiego i Lwowskiej, znajdowała się siedziba Oddziału Powiatowego Polskiego Czerwonego Krzyża, instytucji, która w początkowym okresie lat powojennych zawalona była stertami bezustannie napływających próśb o informacje na temat sądeczan rozproszonych podmuchem wojny po całym świecie. Poległych, zamordowanych, zaginionych lub uczepionych krawędzi życia po wszystkich zakątkach kuli ziemskiej.

Racięska, aktywistka społeczna z lat międzywojennych, także w gestii PCK — udała się do sąsiadów z nadzieją, że może tu coś w jej kłopocie poradzą. Powitały ją stare znajome: **Wróblewska, Mączyńska, Harsdorfówna** i inne. A że biuro było akurat w trakcie organizacji, Racięska, zamiast porady — otrzymała... stanowisko kierowniczki biura, z odpowiedzialnością za dział Informacyjny i Ogólny, z dniem 1 marca 1945 r.

Pełniła tą funkcję do 1 sierpnia 1945 r. Odchodząc, po pięciu miesiącach ogromnego trudu — otrzymała coś w rodzaju dyplomu wdzięczności i uznania, od Zarządu Powiatowego PCK w Nowym Sączu. Z treści tego „dyplomu" zacytujmy dwa fragmenty:

> *„Niecodzienne zalety sumienności, obowiązkowej systematyki, pogodnej cierpliwości w połączeniu z umiejętnością organizacji pracy i patriotycznym ujmowaniem poruczonych Jej spraw, skłoniły wszystkich pracowników biura Oddziału do złożenia swych podpisów w dowód koleżeńskiego uznania..."*

I na zakończenie:

„Zaś za trudy około organizowania Oddziału Powiatowego od podstaw, za wzorową pracę wykonywaną honorowo dla dobra społeczeństwa i na większą chwałę Niepodległej Rzeczypospolitej Polskiej niechaj starczy serdeczne, staropolskie — Bóg zapłać!

Nowy Sącz, dnia 1 sierpnia 1945 r."

A u dołu: dziesięć podpisów wspaniałych sądeczan, którzy w tamtym okresie jeszcze wierzyli w Niepodległą Rzeczypospolitą…

Wracajmy jednak do Racięskiej. Te pięć miesięcy były dla niej swoistym egzaminem Człowieczeństwa. Załatwiając setki spraw, w dużej części podobnych do sytuacji w jakiej się sama znajdowała, ani na moment nie zaniedbała własnej konieczności: dotarcia do męża.

Słyszała o wielu wariantach takiej możliwości. Aż pewnego dnia któraś ze znajomych powiedziała: Stacha — a nie mogłabyś spróbować starego sposobu, w którym zresztą sama uczestniczyłaś w latach 1940–1941 — skokiem przez zieloną granicę. No i dalej w kierunku Bratysławy, Wiednia i Ankony, aktualnego miejsca postoju II Korpusu.

Znajomi podali nawet adres punktu, gdzie można było uzyskać bliższe dane na ten temat: mała kawiarenka „Halina" na Rynku w Piwnicznej, własność braci **Reichertów**, trudniących się w latach 1940–1943 przerzutem uchodźców, a od jesieni 1943 do 1945 wchodzących w skład oddziału partyzanckiego.

Pani Stasia pojechała do Piwnicznej. W „Halinie" otrzymała potrzebne dane, a nawet wpłaciła pewną sumę na koszt przerzutu, ale nic z tego nie wyszło. W międzyczasie Straż Graniczna została wzmocniona i przeszła pod specjalny nadzór NKWD. Przewodnik, który podjął się przerzutu — wpadł i został wywieziony z grupą najnowszych w historii Polski zesłańców na „białe niedźwiedzie". Granica stała się bardziej niebezpieczna niż za Grenzschutzu. Innego kandydata na przewodnika nie było i Pani Stasia wróciła na Jagiellońską z niczym.

Ale wróciła 24 grudnia 1945 r. Była więc rodzinna wigilia, opłatek, ulubione dania i trochę łez, które szybko osuszyły kolędy, z ulubioną *„Lulajże, Jezuniu"* na czele.

Ale to szybko minęło, jak wszystko, co miłe i piękne. Pozostał problem dotarcia do męża. Granica zawiodła, ale nadzieje nigdy nie umierają. Do Pani Stasi dotarły wieści, że w Krakowie organizują transporty cudzoziemców, głównie byłych lotników z RAF–u, zestrzelonych nad Polską, a także żołnierzy różnych broni, którzy zwolnieni z obozów jenieckich — pragnęli wrócić do ojczystych krajów, także do Francji.

Panią Stasię szczególnie zainteresował transport do Francji. Nie dlatego, że

język francuski wydoskonaliła w czasie studiów na Sorbonie. Po prostu napadła ją absolutna pewność, że z Paryża do Londynu „tylko jeden krok" przez Kanał La Manche, i stęskniona padnie w ramiona męża.

Pojechała do Krakowa, aby zapoznać się bliżej z możliwościami wkręcenia się w skład załogi obsługującej francuski transport. Możliwość taka istniała. Potrzebne jednak było zaświadczenie ówczesnego rządu, że taka osoba zostaje przydzielona służbowo do pociągu na linii Polska — Francja, w charakterze sanitariuszki i opiekunki.

Ale szczęście wyraźnie sprzyjało pragnieniom Pani Stasi: martwiącej się długo jakim cudem zaświadczenie takie wytrzasnąć — otworzyła się nagle w mózgu jakaś „klapka" i przywiodła na myśl pewną osobę z lat wojny. Wśród jej lewych lokatorów na Gdańskiej intrygującą postacią był młody przystojniak, o wyjątkowo zakamuflowanym trybie życia: wciąż milczący, jakby całkowicie zagubiony w konspiracyjnej samotności, nikogo nie przyjmował, z nikim się nie przyjaźnił i nie spotykał. Wciąż znikał na wiele godzin i wracał. Ulotnił się na dobre parę tygodni przed powstaniem i dopiero w czasie walk Racięska dowiedziała się od kolegów z „dwójki", że jej dyskretny lokator — to wybitny działacz komunistyczny, członek PPR, a w latach wojny: dowódca Armii Ludowej w rejonie Żolibórz — Bielany — Marymont, tu właśnie dowodzący, słabymi zresztą siłami w okresie powstania warszawskiego. Dowiedziała się również, że nazywał się: **Waldemar Nerwiński**.

Te przypomnienia, w danym momencie, utwierdziły Racięską, że kto jak kto, ale „towarzysz" Nerwiński może jej w aktualnym kłopocie pomóc. Nieznane są drogi i zabiegi, które doprowadziły do spotkania obydwojga w Krakowie, ale znany jest efekt tego spotkania: tydzień później na krakowski adres Racięskiej przyszła zalakowana i obita urzędowymi pieczęciami koperta, a w niej upragnione pisma: zaświadczenie i oficjalny angaż do obsługi sanitarnej transportu byłych jeńców i więźniów, wracających do ojczystych krajów. Z końcową stacją w Paryżu.

Pojechała. W Paryżu dyskretnie zginęła z oczu załogi pociągu, odszukała znajomych z lat studiów i przy ich pomocy ustaliła numer telefonu, na który była nadzieja rozmowy z mężem. Znalazła go, i w ostatecznym efekcie, pewnego dnia, w 1946 r., wylądowała na londyńskim lotnisku, wpadając prosto w ramiona męża.

Był jeszcze w mundurze, na etacie brytyjskim, w ramach Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia (Resettlement Corps), po którego rozwiązaniu w 1949 r. poszedł do cywila i zaczął robić karierę.

***

Racięskim, zdzierającym życie w okrutnych warunkach, wolność przyniósł naj-

mniej spodziewany fakt: zawarty 30 lipca 1941 r. układ Sikorski — Majski, otwierający możliwość zorganizowania na terenie ZSRR armii polskiej, której szeregi stanowić mieli oficerowie i żołnierze, zabrani po 17 września 1939 r. do „niewoli", częściowo straceni na placach mordu w Katyniu, Miednoje i Charkowie i rozproszeni w setkach łagrów na północno–wschodnich obszarach Związku Radzieckiego.

Na mocy kolejnej umowy, zawartej 14 sierpnia 1941 r., ogłoszono dla wszystkich Polaków przebywających w więzieniach i łagrach „amnestię", i ustalono sposoby transportu zwolnionych do ośrodków mobilizacyjnych mającej rodzić się armii. Ustalono również, że naczelne dowództwo armii obejmie zwolniony z moskiewskiego więzienia na Łubiance — generał Władysław Anders.

Wieść o „amnestii" z 14 sierpnia i zobowiązania sowieckie odnośnie transportu zwolnionych z łagrów na punkty mobilizacyjne armii polskiej, dotarła różnymi drogami do obozów i wywołała euforię, graniczącą z szałem radości.

Już w drugiej połowie sierpnia 1941 r. z obszarów łagrowych na dalekiej północy runęła fala obozowiczów, ku wyznaczonym ośrodkom, w których miały się rodzić polskie pułki i dywizje.

Pierwsze tego rodzaju transporty pochodziły z łagrów rozmieszczonych na obszarze autonomicznej republiki Komi, z rejonu lasów nad rzeką Wyczegdą i z Kotłasu, który był wówczas siedzibą urzędu NKWD, nadzorującego rozmieszczenie polskich więźniów i pełniącego totalną władzę nad ich życiem i śmiercią.

Z tamtego właśnie terenu, na początku września 1941 r., pierwszym transportem zwolnionych Polaków jechał „strzelec z cenzusem", nasz bohater: Zbigniew Racięski. Pierwszym punktem etapowym na drodze ku Polsce było marne miasteczko nad Samarą, siedziba dowództwa powstającej armii: Buzułuk. Tu właśnie miał możliwość spotkać się z Andersem i zawrzeć pierwszą przyjaźń, której pozostał wierny do końca życia.

Ale w Buzułuku potrzebni byli generałowie i pułkownicy. Dla „strzelca z cenzusem" na razie miejsca tu nie było. Został skierowany do Tockoje, gdzie rodziła się 6. Dywizja Piechoty pod dowództwem gen. **Michała Karaszewicz–Tokarzewskiego**. Racięski — wciąż na etacie „strzelca z cenzusem", jeszcze nie zauważony, z mnóstwem marnujących się talentów i możliwości — przez pewien czas kręcił się „po nijakiemu" i nudził. Ale o tych początkach niech opowie sam Racięski, który zawsze dyskretny i niechętny do mówienia o sobie, dał się przekonać i w 50. rocznicę przybycia do Tockoje, w styczniowym numerze londyńskiego miesięcznika *„Biały Orzeł"*, napisał:

> *„Z początkiem września 1941 r., zaraz po uwolnieniu z łagru położonego nad rzeką Wyczegdą w tzw. autonomicznej sowieckiej*

republice Komi, udałem się z grupą współtowarzyszy niewoli na poszukiwanie mającego się tworzyć wojska polskiego. Po 14–dniowej podróży koleją dotarliśmy do miejscowości Tockoje, położonej o kilkanaście kilometrów na wschód od Buzułuku, miasteczka, w którym miało siedzibę dowództwo powstającej armii. W Tockoje, na terenach olbrzymiego poligonu manewrowego armii sowieckiej, zakwaterowane były pod namiotami, już jako tako sformowana, 6. Dywizja Piechoty oraz Ośrodek Organizacyjny Armii, w którym tworzyć się miały nowe jednostki.

Warunki, w jakich powstawała armia generała Andersa w Rosji określić można jako koszmarne. Przede wszystkim nie mieliśmy broni, do której żołnierz tęsknił. Jedynie 5. Dywizja stojąca w Tatiszczewie nad Wołgą została wcześniej uzbrojona. Mieszkaliśmy najpierw w namiotach, a z nastaniem zimy w przez nas wykopanych ziemiankach. O łóżkach, materacach czy kocach nie można było marzyć. I aż do początku grudnia, to jest do nadejścia ekwipunku (mundury, bielizna, koce, buty, skarpetki) z Anglii, chodziliśmy na ćwiczenia w łagiernych łachmanach, obuci w łapcie robione ze starych opon samochodowych, zawszeni i niedożywieni. Już z końcem października chwyciły mrozy i trzeba było siekierami rąbać lód na rzece, by przewieźć do kuchni obozowej wodę dla ugotowania zupy kartoflanej, stanowiącej obok „pajki" chleba jedyne nasze pożywienie. O myciu i goleniu się trzeba było zapomnieć. Zresztą nie było czym. Mimo to chorób było mało. Śmiercionośny tyfus dognał nasze wojsko dopiero na wiosnę, w Centralnej Azji, w Uzbekistanie i Kazachstanie, mimo że warunki były o niebo lepsze, niż nad Wołgą i pod Uralem.

Nie mogąc swych żołnierzy nakarmić ani odziać, dowódca 19. pułku, w którym służyłem, ppłk Gudakowski (później płk Leon Koc), chciał im dać przynajmniej strawę duchową, przez urządzanie wieczornych pogadanek. W naszym batalionie dowódca major Ksieniewicz, mnie powierzył to zadanie. W rezultacie przez kilka tygodni codziennie, często przy ognisku, mówiłem do żołnierzy na rozmaite tematy, związane przede wszystkim z toczącą się wojną oraz historią Polski i świata. I nie tylko w naszym batalionie, ale i w innych oddziałach, dokąd mnie coraz częściej zapraszano. Nagle, chyba z początkiem listopada, mój dowódca, bardzo zakłopotany, zakomunikował mi poufnie, że do pułku nadszedł rozkaz „z góry", aby mnie „wyco-

fać" z pracy oświatowej. Dlaczego — nie wiedział. Ja też nie mogłem domyślić się przyczyny.

W kilka dni później dowiedziałem się, że na terenie 6. Dywizji zjawił się przybyły dopiero co z Londynu por. Stanisław Strumph–Wojtkiewicz. Był to dobrze mi znany przed wojną dziennikarz warszawski. Postanowiłem go odszukać. Znalazłem go w kwaterze oficera oświatowego 6. Dywizji, również znajomego dziennikarza, por. rez. Kleinerta.

Strumph powitał mnie grzecznie, ale raczej chłodno. Zapytał, czy czegoś od niego nie potrzebuję. Odpowiedziałem, że mam tylko jedną prośbę, by przyszedł do rejonu Ośrodka Organizacyjnego i opowiedział coś o nowym rządzie i wojsku w Anglii i w ogóle o tym, co działo się w świecie, przez te dwa lata, gdy my siedzieliśmy w więzieniach i łagrach. Zgodził się chętnie, więc z radosną aprobatą mych dowódców zorganizowałem kilka masowych zebrań z udziałem zarówno oficerów jak i szeregowych. Strumph był człowiekiem inteligentnym, a że umiał i miał o czym mówić, więc jego pogadanki cieszyły się olbrzymim powodzeniem.

Zdałem sobie później sprawę, że zbyt optymistycznie naświetlał stosunek Anglii do sprawy polskiej oraz nasze widoki na przyszłość, jak też przeceniał wpływ w świecie generała Sikorskiego i jego rzekomą przyjaźń z Churchillem. Ale wówczas jego słowa przyjmowane były jak objawienie i utrwaliły na długo wiarę słuchaczy w lepszą przyszłość.

Chyba w dwa tygodnie po odjeździe Strumph–Wojtkiewicza nadszedł do dowództwa 19. pułku rozkaz podpisany przez Szefa Sztabu płk. dypl. Leopolda Okulickiego, przenoszący mnie do Oddziału Propagandy i Oświaty dowództwa armii w Buzułuku, z nakazem natychmiastowego zameldowania się.

Pierwszy mój występ na terenie „Propagandy" wypadł raczej komicznie. Kiedy z 20–stopniowego mrozu wchodziłem do ogrzanej, wypełnionej gwarem sali, okulary zaszły mi mgłą i nagle straciłem możność widzenia, tym niemniej stuknąłem przepisowo obcasami i gromko, jak nakazuje regulamin, zameldowałem swe przybycie. Wywołało to wśród obecnych wybuch wesołości. Poprzebierana w mundury cywilbanda, stanowiąca zespół „Propagandy", nie była bowiem przyzwyczajona do takich służbowych występów. Najbardziej zaryki-

wał się śmiechem zażywny grubasek, który zresztą zaraz do mnie podszedł i przyjaźnie uścisnął mi rękę. Był to także „strzelec z cenzusem" Zdzisław Bau, czyli jak go nazywano „Zdzibau", przyszła gwiazda reportażu wojennego we Włoszech i w ogóle na terytoriach walk w rejonie Morza Śródziemnego. Od pierwszej chwili przypadliśmy sobie ze „Zdzibauem" do serca, a przyjaźń wówczas związana nie doznała nigdy zamącenia i trwała aż do jego śmierci w lutym 1992 r.

Cokolwiek by się powiedziało o późniejszej działalności pisarskiej rtm. Strumph–Wojtkiewicza w PRL, dokąd wyjechał w kilka miesięcy po zakończeniu wojny, a niestety nie można go za nią pochwalić — jako szef biura Propagandy i redaktor tygodnika „Orzeł Biały" położył on niezaprzeczalne zasługi. Umiał też, opierając się nie na wojskowej dyscyplinie, lecz na koleżeńskim stosunku do swych podwładnych, utrzymać w ryzach i natchnąć zapałem do pracy zespół składający się w większości z ludzi utalentowanych o różnorakich, niecodziennych charakterach.

Pewnego dnia powiedział mi Strumph, że ściągnął mnie do swego biura dlatego, że mu zorganizowałem w Tockoje z własnej inicjatywy serię oczytów, o czym żaden z oficerów nie pomyślał. „Wykazałeś tym wyczucie propagandy oraz potrzeb żołnierza" — dodał. Wyjaśnił mi też dlaczego mnie „zdjęto" z akcji odczytowej w Tockoje. Otóż w jednej z pogadanek miałem powiedzieć, że „generał Sikorski podniósł buławę hetmańską porzuconą w pyle zaleszczyckiej szosy". Jakiś sanacyjny oficer doniósł o tym do biura personalnego, gdzie inny sanacyjny gorliwiec postanowił, że temu „pyskaczowi" trzeba założyć na gębę kłódkę.

W konsekwencji wniosek Strumpha, aby mnie przenieść z pułku do Sztabu napotkał na sprzeciw w biurze personalnym. Jednakże właśnie w tym czasie przyjechał do Buzułuku generał Sikorski, któremu Strumph, pełniący trochę rolę ucha i oka Naczelnego Wodza, sprawę zreferował. Generał coś tylko na to mruknął, ale wiadomo było — mówił mi Strumph — że mu się twoje powiedzenie spodobało. Tego samego dnia gen. Sikorski powiedział w obecności Strumpha do gen. Andersa: „Panie generale, rotmistrz Strumph–Wojtkiewicz chce wprowadzić do Sztabu jakiegoś wybitnego propagandzistę, który się marnuje w Tockoje. Ale pańskie Biuro Personalne robi podobno trudności". „Natychmiast to załatwię" — odpowiedział gen.

Anders. I rzeczywiście załatwił.

Najbarwniejszą postacią w naszym gronie i chyba najbardziej lubianym kolegą był właśnie „Zdzibau". Dziennikarz z zamiłowania, temperamentu i talentu, był „Zdzibau" najbliższym współpracownikiem Strumpha, jako redaktor „Orła Białego". Później, przy następnych naczelnych redaktorach (na tej funkcji musiał być obowiązkowo oficer), „Zdzibau" był nadal motorem pisma, gdy wychodził w Jangi — Jul, Teheranie i Bagdadzie.

Niezależnie od pracy redaktorskiej w „Orle Białym", robiliśmy za spółkę z Bauem zmieniając się na noc, aż do opuszczenia terenu państwa sowieckiego, nasłuch wszystkich osiągalnych radiostacji (Londyn, Zurych, Ankara, Berlin, Moskwa), na podstawie którego sporządzaliśmy komunikat, stanowiący źródło codziennych informacji dla Sztabu i garnizonu w Buzułuku".

Tu na moment odejdziemy od tekstu Racięskiego, w którym omawia sylwetki koleżanek i kolegów z zespołu propagandzistów, nie wiążą się one bowiem z naczelnym tematem: *„Sądeczanie u Andersa…"*

I znowu niech mówi Racięski:

„Po przeniesieniu rtm, Strumph–Wojtkiewicza do 1. pułku ułanów, szefem Biura Prasy i Propagandy — już na nowym miejscu postoju w Jangi–Jul, został znakomity malarz i pisarz Józef Czapski, zaś formalnym redaktorem „Orła Białego" — Roman Hausner, jeden z najwyższych stopniem urzędników i znakomity prawnik, ale nie dziennikarz. Toteż faktycznym redaktorem był Zdzisław Bau i pełnił tę funkcję aż do przejścia Armii do Palestyny. Zastępcą Czapskiego, człowiekiem wielkiej kultury, pozbawionym wszelkich cech „zupactwa" oficerskiego, był ppor. Józef Zielicki, członek ZWZ we Lwowie, więzień Łubianki, którego amnestia uratowała od wykonania na nim wyroku śmierci. Zielicki, człowiek mądry, skromny i koleżeński pomagał Czapskiemu w wytworzeniu tak w biurze jak i w redakcji „Orła" atmosfery swobodnej przyjaźni. W krótkim czasie pracownicy naszego biura przeszli tak z Czapskim, jak i z Zielickim na „ty", ku zgorszeniu rozmaitych zawodowych oficerów. Byliby nam chętnie robili psikusy, ale Propaganda i „Orzeł" cieszył się specjalną opieką gen. Andersa, więc pozwolono nam rządzić się po swojemu".

Tyle Racięski w swoim jedynym artykule na temat początków swojej „wojny" w Armii gen. Andersa. Oczywiście, pisząc wspomnienia z odległości 50 lat — napi-

sał nie tylko to, co zapamiętał, ale także to co mógł i chciał.

Aby uzupełnić bogaty żywot Zbigniewa sięgnijmy do jego wypowiedzi oraz do artykułów opracowanych przez frontowych kolegów publikujących w polskiej prasie emigracyjnej. A także do wywiadu udzielonego warszawskiej reporterce, pani **Ewie Berberyusz**, który został zamieszczony w jej książce *Anders spieszony* i do książki **Józefa Czapskiego** *Na nieludzkiej ziemi*.

Aby utrzymać chronologiczny ład — wróćmy do lat międzywojennych, poszerzając życiorys Racięskiego na podstawie artykułów napisanych przez kolegów Zbigniewa, onegdajszych pracowników Rozgłośni „Wolna Europa" w Monachium: **Andrzeja Czyżowskiego**, **Jana Krok–Paszkowskiego** i **Kazimierza Zamorskiego** z Londynu.

Pragnę przy tym wyjaśnić, że powtarzające się we wspomnianych wyżej relacjach wersje o czystej krwi wiedence itp. — pozostawiam bez zmian, gdyż zostały one już omówione i wyjaśnione.

> *„Przez wiele lat* — wspomina Krok–Paszkowski — *Racięski utrzymywał bliskie, a nawet przyjacielskie kontakty z Niemcami, szczególnie z Lipska i Królewca, gdzie istniały Instytuty Prawa i Ekonomii Lotnictwa Cywilnego. Racięski planował utworzenie podobnego instytutu w Krakowie. Ale stosunki z Niemcami zaczęły się pogarszać, a kontakty i przyjaźnie urywać. W lipcu 1939 roku Racięski został nagle wezwany do ministra komunikacji, płka Juliusza Ulricha, który zlecił Racięskiemu wyjazd do Niemiec i wykonanie, w oparciu o swych znajomych, specjalnej misji o o dużym znaczeniu. Racięski zadanie wykonał, i mimo wielokrotnego zagrożenia wrócił szczęśliwie do Warszawy.*
>
> *Tuż przed wybuchem wojny, 33–letni radca ministerialny zgłosił się na ochotnika do wojska. Dostał przydział do 5. pułku piechoty Legionów jako strzelec z cenzusem. W koszarach na wileńskim Antokolu ćwiczył rekruckie powinności: musztra, strzelanie, padnij, powstań. Dowódcą kompanii szkoleniowej był zakamuflowany komuni sta, por. Eugeniusz Milnikiel, późniejszy ambasador PRL w Londynie".*

***

Nie ma w relacjach i wypowiedziach Racięskiego wzmianki o innym sądeczaninie, lewicowym poecie i pisarzu: **Marianie Czuchnowskim**, który pracując w andersowej Sekcji Odczytowej Oddziału Propagandy wykazał wyjątkowe zaangażowanie i ofiarność. Ku ogromnemu zadowoleniu Szefa Czapskiego. „Czerwony Maniuś",

jak go koledzy z I Gimnazjum im. Jana Długosza w Nowym Sączu nazywali, we wrześniu 1939 r. poszedł bronić „sanacyjnej Ojczyzny". A resztowany przez NKWD we Lwowie, przeszedł wyjątkowo okrutne śledztwo i ciężki obóz w głębi Sybiru. Wyleczony z komunistycznych ciągotek — teraz, w zespole złożonym z „burżuazyjnej kliki", pracował z wyjątkową żarliwością, jakby chciał rehabilitować się z błędów młodości.

I oto zestawienie: tragiczna kpina rozdeptanego wojną losu — z jednej strony biurka chłopski poeta z Łużnej, marzący latami o komunizmie, a po drugiej Szef Sekcji, książę **Eustachy Sapieha**, były obszarnik, minister spraw zagranicznych i wieloletni ambasador Polski w Londynie... I co również charakterystyczne: stary dygnitarz, ze szczytów majątkowych, rodowych i politycznych sanacyjnej Polski — wkrótce polubił Czuchnowskiego; woził go na odczyty, naradzał się z nim i chwalił:

„On jest dobry, dobrze mówi, tylko trzeba go trochę kontrolować, bo jest bardzo gorący i może przeholować".

* * *

A le niało być o Racięskim. Zbigniew, zaraz po wejściu do grupy Strumpha, oprócz pisania dla *„Białego Orła"* otrzymał służbowy przydział do nasłuchu radiowego. Prowadzili go we dwójkę, z wysokiej klasy dziennikarzem i publicystą, wspomnianym już redaktorem *„Białego Orła"*, Zdzisławem Bauem. Poza tym pełnił różne funkcję „na bieżąco": tam, gdzie ktoś czegoś nie umiał, nie mógł, czy nie chciał. Mając materiały z nasłuchu zaopatrywał w komunikaty i wiadomości całą polską prasę wojskową na różnych frontach.

Ten nasłuch zresztą przykleił się do niego na długo. On go też zbliżył mocniej do Andersa. Było to na ostatniej kwaterze generała i jego sztabu, w azjatyckiej części Związku Sowieckiego w Jangi–Jul, koło Taszkientu, Uzbecka SRR. Mieszkając w sztabowej kwaterze, rankiem, każdego dnia, brali udział w śniadaniu u generała, któremu składał meldunki. W wywiadzie prasowym, sam Racięski tak o tym pisze:

„Robiliśmy w Jangi–Julu z Bauem nasłuch radiowy, który się rano niosło do generała. Jak generał leżał w łóżku i jadł śniadanie, to zapraszał na śniadanie i przy śniadaniu można było porozmawiać. Ja się wtedy u generała, że tak powiem, wzmocniłem..."

Trwało to do marca 1942 r. W początkach kwietnia Strumph–Wojtkiewicz został przeniesiony na inne stanowisko, a funkcję Szefa Oddziału Propagandy objął na rozkaz gen. A ndersa jego znajomy z pułku ułanów Krechowieckich, rotmistrz Józef Czapski.

Śniadania u generała trwały nadal, a ich przebieg wspomina Czapski w swej

Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. J. Siuskiego w Nowym Sączu Region

książce:

„Nieraz o siódmej czy wpół do ósmej byłem już na śniadaniu u generała Andersa. Generał jeszcze leżał w łóżku, okno było otwarte na wiosenny świat, jedyna chwila w dniu, gdzie nie było jeszcze kolejki czekających na audiencję, kiedy mogłem spokojnie wyłożyć mu sprawy, o które mi chodziło, otrzymać jego instrukcję, rozkazy czy podpisy."

Z odejściem Strumph–Wojtkiewicza — raport z nasłuchu radiowego prowadzonego przez Racięskiego i Baua zanosił generałowi sam Czapski, względnie adiutant generała, rotmistrz 1. pułku ułanów Krechowieckich, Jerzy Klimkowski.

Gdy brakło, zadomowionego w sztabie generała, Strumpha — zmalała także postać Racięskiego. Wciąż mocno tkwił w redakcji *„Białego Orła"*, ale próbowano go wymanewrować i przerzucić na inny front działania.

Najpierw, na wniosek Czapskiego, chciano go zrobić korespondentem wojennym w Jugosławii. Na takie stanowisko potrzebna była zgoda Brytyjczyków. Pojechał więc do Kairu, gdzie urzędowała odpowiednia „Misja" do spraw propagandy i wywiadu. Uprzejmi panowie, pod wskazanym adresem, wyjaśnili Racięskiemu z miejsca sytuację: *„tak* — powiedzieli — *potrzebujemy kogoś do Jugosławii, ale nie do prezentującego króla Piotra, generała Draży Michaiłowicza, lecz do przywódcy komunistycznej partyzantki, Josipa Broz Tity…"*

Racięskiego zatkało. Do komunizmu nigdy w życiu sympatii nie czuł, a teraz, po więzieniu w Mińsku, po prawie dwuletnim pobycie w superpiekiełku w łagrze koło Kotłasu — każda wzmianka o jakimkolwiek typie komunizmu — budziła w nim dreszcze. Ale sorbońskie dyplomy, nawet w takich sytuacjach wymagały kultury. Stłumił gniew i spokojnie powiedział panom z Misji, co myśli o komunizmie. Uprzejmi panowie, uprzejmie odebrali wybuch Racięskiego, a ponieważ mieli akurat pilną pocztę do Londynu — żegnającego się Racięskiego poproszono o „zaglądnięcie po drodze" do Londynu, gdzie w hotelu „Rubens" miała siedzibę stolica emigracyjnej Ojczyzny.

Zbigniew misję „Misji" załatwił, odwiedził kilku znajomych sprzed wojny kolegów i myślał czym by najłatwiej wrócić do Jangi–Julu. Miał szczęście! Spotkał przebywającego właśnie w Londynie Andersa, z którym zabrał się w drogę powrotną. Ale już nie do Jangi–Julu. W międzyczasie, dużymi rzutami, w marcu i kwietniu 1942 r. oraz w sierpniu 1942 r. cała Armia gen. Andersa przenosiła się do Iranu, a następnie poszczególne jej człony rozlokowane zostały w Palestynie, Libanie i Egipcie.

Zaistniałe zmiany spowodowały, że Racięski po powrocie z Londynu znalazł się najpierw w Bagdadzie, a później w Jerozolimie. Tu znów ze Zdzisławem Bauem robi-

li nasłuch radiowy, na bazie którego Racięski komponował komunikaty i serwisy informacyjne dla prasy tych oddziałów, które obozowały w Palestynie.

No, ale my z tego „Betlejemu" 6. Dywizji i Sztabu tak szybko się nie urwiemy. Do Buzułuku i Tockoje musimy jeszcze powrócić, aby posłuchać „kolędy", którą nam „zaśpiewa" kolega Racięskiego, onegdajszy redaktor w warszawskim Domu Prasy, Zdzisław Bau, a od października 1941 r. „szef koleżeński" Zbigniewa, który akurat w tym czasie został „wcielony" przez Stanisława Strumph–Wojtkiewicza w skład zespołu redakcyjnego tygodnika *„Orzeł Biały"*. A oto kilka „okołozbyszkowych" wspomnień z notatnika redaktora „Zdzibaua".

Poznali się z Racięskim w październiku 1941 r. w trakcie redagowania pierwszego numeru *„Orła Białego"* w Buzułuku, który ukazał się z datą 7 grudnia 1941 r., na powitanie gen. Sikorskiego.

> *„Zbyszka* — ujawnia Naczelny — *pokochaliśmy od razu: przemiły, kulturalny, o wielkiej wiedzy. Po iluś tam numerach „Orła Białego", wiosną 1942 r. opuściliśmy Buzułuk, przenosząc się do nowej siedziby Sztabu w Jangi–Jul, w Uzbekistanie.*
>
> *W tym czasie Szef Oddziału Propagandy i Oświaty Strumph–Wojtkiewicz został przeniesiony do wojska, a jego miejsce zajął Józef Czapski. Wspaniały człowiek!* — relacjonuje redaktor Bau — *Święty — ja nie przesadzam. To on sprowadził do Prasy i Oświaty w Iraku Jerzego Giedroycia. Bez tego prawdopodobnie nie byłoby teraz „Kultury" w Paryżu i tego, co „Kultura" pod jego redakcją zrobiła dla sprawy polskiej i Polaków".*

We wrześniu 1942 r., ostatnim rzutem armii Andersa — Prasa i Oświata, przez Krasnowodsk, a potem okrętami do Pahlevi, dotarła do Teheranu, gdzie „Zdzibau", Racięski i spółka wydali jeszcze dwa numery *„Orła Białego"*. Kolejno „przesiadka" — to Bagdad. Ze zmianami w obsadzie pisma.

W Bagdadzie bowiem nastąpiło połączenie wojsk generała Andersa, ochrzczonych mianem „prawosławnych", z Samodzielną Brygadą Strzelców Karpackich i oddziałami „lordów", czyli żołnierzy I Korpusu, dowodzonych przez gen. Kopańskiego. Redakcję *„Orła Białego"* objął **Roman Hausner**, który był przed wojną dyrektorem departamentu w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. W skład redakcji weszło szereg nowych ludzi różnych charakterów i zawodów. Racięskiego próbowano wylawirować z próbą wysłania do Jugosławii, z czego się wykręcił i wrócił do Bagdadu. Tylko „Zdzibau" został, ale w roli odpowiedzialnego za łamanie pisma, i z obowiązkiem stałego felietonisty. Stan taki trwał prawie rok. „Zdzibau" łamał składy poszczególnych numerów *„Orła"*, ale nie złamał starej przyjaźni z Racięskim, który z pozycji

„wolnego strzelca" zasilał łamy *„Orła Białego"* doskonałymi artykułami i reportażami, zgodnie z otrzymanym, nieznanym w Polsce stopniem: Public Relations Officer (PRO).

W drugiej połowie 1943 r., gdy „prawosławni", wspólnie z karpatczykami i „lordami" — jako II Korpus — zaczęli przenosić się z Iraku do Palestyny, Racięski i Zdzisław Bau, otrzymali awanse (Racięski do stopnia podporucznika czasu wojny) i zostali przeniesieni do *„Dziennika Żołnierza"*, którego pierwszy numer ukazał się w Tel Avivie. *„Orzeł Biały"* przeniósł się do Palestyny, a później do Włoch. Ale już bez Racięskiego i „Zdzibaua", którzy otrzymali angaże korespondentów wojennych przy sztabie generała Andersa.

Nim odjechali na front — redagowali *„Dziennik Żołnierza"*, i kwaterując we dwójkę w Jerozolimie, w tzw. „Pink House" — obydwaj wielojęzykowcy — prowadzili nadal nasłuch ze wszystkich dostępnych radiostacji.

Przerzut poszczególnych formacji II Korpusu na front włoski rozpoczął się w grudniu 1943 r. i trwał do połowy kwietnia 1944 r. Generał Anders ze sztabem przybył do portu w Tarencie 25 stycznia 1944 r. Wśród sztabowców, na froncie włoskim znalazł się także ppor. Zbigniew Racięski.

I znów musimy „przymknąć" oczy na frontowe dzieje Racięskiego. W zasadzie wiadomo co robi korespondent wojenny: słucha, obserwuje i opisuje. Na włoskim froncie pracowała cała grupa wybitnych dziennikarzy, wśród których brylował znakomity literat i popijbrat, **Melchior Wańkowicz**. Ale Wańkowicz pozostawił po sobie znakomitą *Bitwę pod Monte Cassino*. Ślady Racięskiego, to setki raportów frontowych, które utkwiły w sztabowych archiwach i leżą w londyńskim Instytucie im. generała Sikorskiego.

Bolesław Łazarz

NOWY SĄCZ W FOTOGRAFII SPRZED PÓŁ WIEKU

Nowy Sącz przeobraził się gruntownie na przestrzeni ostatnich kilkudziesięciu lat. Prezentowane poniżej zdjęcia dają wyobrażenie radykalności zmian, jakie zaszły w wyglądzie miasta w porównaniu do lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych.

Rynek, 1961 r.

Baszta Kowalska, 1955 r.

Ulica Pijarska, 1961 r.

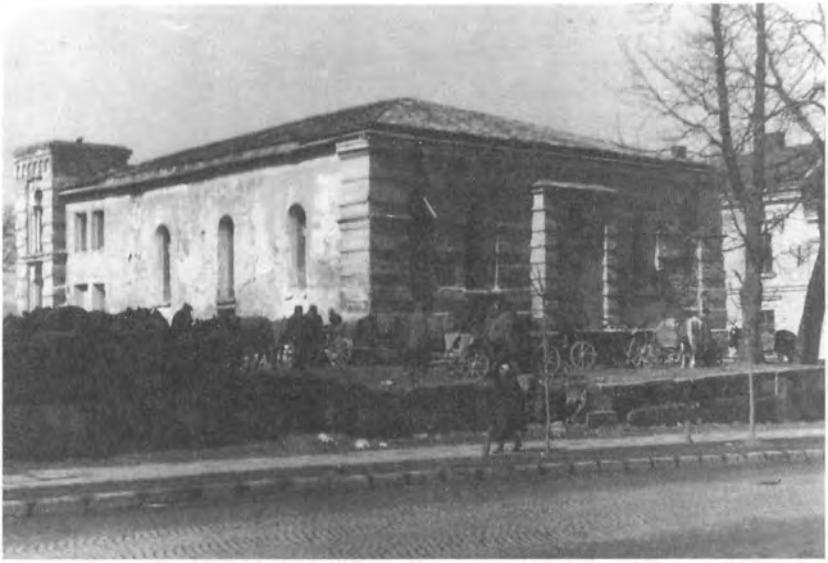

Bóżnica, 1956 r.

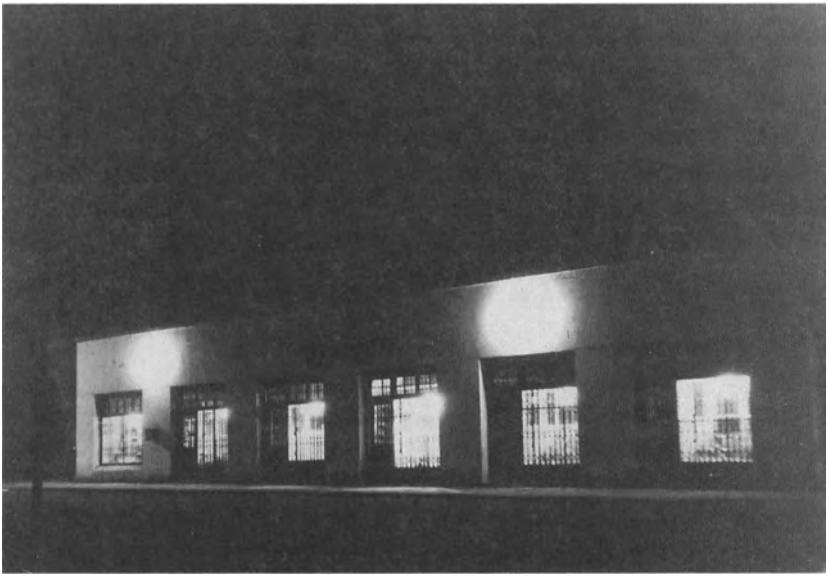

Budynek PSS, 1957 r.

Budowa Osiedla Kochanowskiego, 1967 r.

Ulica Żywiecka, 1957 r.

Dworzec PKS, 1960 r.

Aleje Batorego przy Dworcu PKP, 1961 r.

Marcin Krakowski

MARCINKOWICKA WSZECHNICA

Wszechnica w Marcinkowicach zbliża się do 52. roku swego istnienia. Dobry to czas, aby przybliżyć P. T. Czytelnikom historię szkoły rolniczej, jej twórców i obecnych kreatorów mając na uwadze rosnącą i niekwestionowaną jej popularność w całym regionie.

Historia

Szkoła swoim początkiem sięga roku 1946, kiedy to Wydział Powiatowy przy starostwie w Nowym Sączu przeznaczył resztówkę z rozparcelowanego dworu Morawskich (herbu Dąbrowa) wraz z budynkami mieszkalnymi i zabudowaniami gospodarczymi dla Powiatowego Gimnazjum Gospodarstwa Wiejskiego. Decyzja ta miała swoje dane: OR/VII/2/1780/45.

Powiatowe Gimnazjum Gospodarstwa Wiejskiego (szkoła żeńska) została przeniesiona z Podegrodzia do Marcinkowic w dniu 7 września 1946 roku. Dzięki uzyskaniu pięknego obiektu dworskiego stało się możliwym, aby pierwsze lekcje w nowo otwartej szkole rozpoczęły się 15 września 1946 roku. Lekcje w 3–letnim żeńskim Gimnazjum Gospodarstwa Wiejskiego rozpoczęło 21 uczennic. Pierwszym dyrektorem szkoły została **Maria Riedel** (do której powrócę w dalszej części opracowania).

Z kronikarskiego obowiązku dodam, iż sale lekcyjne i pomieszczenia w tamtych czasach — oświetlano lampami naftowymi. Nie szkodziło to jednak pierwszym uczennicom zdobywać wiedzę. Dowodzi też faktu, iż nic nie mogło ostudzić zapału uczniów i grona nauczycielskiego, składającego się wówczas z 6 profesorów i dobrze rokowało na przyszłość. Czy tak się stało? Przekonamy się o tym w dalszej części tegoż materiału.

Już w pierwszych latach swego funkcjonowania, szkoła rolnicza w Marcinkowi-

cach nabierała szerokiego rozmachu. W roku szkolnym 1948/49 została zmieniona dotychczasowa nazwa na Powiatowe Liceum Gospodarczo–Rolnicze I stopnia, do szkoły uczęszczało wówczas 61 uczniów. Od września 1949 następuje kolejna zmiana nazwy Liceum Rachunkowości Rolnej z 4–letnim trybem nauczania. Jednocześnie, w tym samym roku, do szkoły przyjęto pierwszych 5 „rodzynków".

Przełomowym rokiem w historii marcinkowieckiej szkoły — jak się później okaże — stał się fakt zmiany na stanowisku dyrektora. Marię Riedel zastępuje **Stanisław Boryś** — który tę funkcję będzie pełnił aż do roku 1980.

Cały czas należy pamiętać, iż były to trudne lata powojenne. Nie wszystkim powodziło się materialnie, a szkoła ciągle zmieniała swój kształt. I tak np. 16 czerwca 1952 roku rozpoczęto budowę internatu — gdzie mogliby mieszkać, uczyć się dojeżdżający uczniowie, a rok później rozpoczęła się budowa sali gimnastycznej. W szkole działała własna biblioteka, w której na przełomie 1950/51 wypożyczono 768 książek i 41 czasopism.

W roku szkolnym 1952/53 zostają zawieszone lekcje religii. Taki stan istnieje do roku 1957 kiedy to ks. **Józef Góra** (pierwszy marcinkowiecki proboszcz i budowniczy kościoła) naucza wiary w Chrystusa i Jego Kościół. Taka sytuacja nie trwała długo, bo już w roku 1959 władze komunistyczne PRL wyrzucają katechezy ze szkół. Na nowo lekcje religii powracają do szkoły dopiero w 1990 roku, kiedy to katechetą zostanie ks. **Józef Babicz**.

Kolejna zmiana w nazewnictwie szkoły następuje w latach 1955/56, kiedy to następuje przemianowanie dotychczas obowiązującej nazwy na: 5–letnie Technikum Rachunkowości Rolnej. Okresem przejściowym w historii szkoły jest okres od 14 stycznia do 16 listopada 1958 roku, kiedy to istnieje Szkoła Rolniczo–Gospodarcza, w której wiedzę zdobywa 28 uczniów.

Z każdym rokiem szkolnym rośnie ilość wypożyczanych książek w szkolnej bibliotece. Statystyka z 1959 roku mówi, iż na jednego ucznia przypadło 13 książek i innych publikacji. Młodzież lgnęła do lektur, nie była zacofana.

Lata 1952–1961 to czas kiedy zbudowano budynek szkolny, internat, salę gimnastyczną, budynek nauczycielski, garaże, warsztaty i inne pomieszczenia gospodarcze. Wyremontowano i odnowiono budynek inwentarski, dokonano ulepszenia oświetlenia i ogrodzenia całego obiektu, utwierdzono drogi dojazdowe, a w czynie społecznym zbudowano stadion sportowy.

Równocześnie z rozwojem szkoły rozwijała się działalność kulturalna. W roku szkolnym 1962/63 na terenie szkoły działały: Zespół Dramatyczny, Zespół Wokalny, Zespół Taneczny, Chór, Zespół Muzyczny i Kółko Fotograficzne. Opiekunami tych świetlicowych zespołów byli marcinkowieccy pedagodzy. Wymieńmy ich nazwiska: **J.**

Gościej, L. Zegarliński, Z. Kotarba, St. Wójs i **K. Ziemba**.

Marcinkowiecka wszechnica mająca w zamiarze kształcić przyszłych rolników, często wysyłała (i czyni to nadal) swoich podopiecznych na praktyki. W czasach komunistycznych młodzież odbywała te praktyki w PGR na terenie całego kraju, czy też ośrodkach postępu rolniczego.

W latach siedemdziesiątych następuje kolejna faza rozwoju szkoły. Do szkoły przychodzą nowi nauczyciele, niektórzy odchodzą ze względu na stan zdrowia. Wszystko toczy się normalnym torem. Wiedzę zdobywa dziesiątki osób, aczkolwiek niekoniecznie związanych z rolnictwem. W roku szkolnym 1976/77 po raz pierwszy pojawia się dotychczas obowiązująca nazwa: Zespół Szkół Rolniczych.

Na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych następuje czas wolności. Daje się to odczuć na szkolnych korytarzach. Zawiesza się krzyże. W latach następnych radykalnie zmienia się profil marcinkowieckiej szkoły. Wprowadza się wiele nowych przedmiotów (bankowość, komputeryzacja prac biurowych, kultura zawodu, język angielski), a niektóre przestają się cieszyć popularnością (język rosyjski). Wszystko to świadczy o prestiżu rolniczego gimnazjum i przyciąga rzesze nowych adeptów rolniczej wiedzy.

Włodarze szkoły

Pierwszym dyrektorem szkoły rolniczej w Marcinkowicach była Maria Riedel,

Obecny wygląd szkoły

o której już wcześniej wspominałem. Był to doświadczony pedagog i wielce zasłużony nauczyciel w całej historii szkoły. To właśnie Maria Riedel, pamiętnego 13 października 1945 roku, otrzymuje dokument w starostwie w Nowym Sączu z Ministerstw Rolnictwa o przekazaniu majątku dworskiego na mającą powstać szkołę o charakterze rolniczym.

W trakcie swojej dyrektury zabiegała u władz powiatowych i wojewódzkich o dotacje na zakup sprzętu, mebli i pomocy naukowych — tak bardzo potrzebnych w trudnych latach po zakończeniu II wojny światowej. To ona, organizowała pierwszą kadrę znakomitych pedagogów, w której byli: inż. **Stanisław Morawski, Rudolf Klewer** czy też wreszcie **Fabiana Żeromska**. Szkoła dużo jej zawdzięczała, a jej wychowankowie niezmiennie to potwierdzają.

Drugim włodarzem szkoły, który jeszcze bardziej — niż jego poprzedniczka — wpisał się na trwałe w historię wszechnicy był inż. Stanisław Boryś. Czas jego włodarzenia obejmuje lata 1950–1980. Wiele można relacjonować z tamtego okresu. W tym opracowaniu zwrócę uwagę P. T. Czytelników na kilka istotnych elementów, które razem zebrane tworzą całą mozaikę zdarzeń i osiągnięć dyrektora Borysia.

Za jego dyrektorowania zbudowano szkołę, internat, domy: nauczycielski i administracyjny, salę gimnastyczną i budynki gospodarcze. Dbał o rozwój dydaktyczny szkoły i podnoszenie kunsztu pedagogów, których zatrudniał. Dyrektor Boryś kładł duży nacisk na rzetelność wykładanych przedmiotów z podkreślaniem tych, które świadczyły o charakterze gimnazjum w Marcinkowicach.

W pamięci wychowanków i mieszkańców Marcinkowic, tych, z którymi pracował profesor Boryś, pozostanie jako wielki pedagog i humanista. Przez wielu był określany jako *„człowiek niezwykle życzliwy dla drugich"*.

Prof. dr hab. **Stanisław Grabowski** — jeden z absolwentów Państwowego Technikum Rachunkowości Rolnej, tak wspomina swego dyrektora: *„Posiadał tzw. charyzmę i duży autorytet, chociaż niektórzy uczniowie zwyczajnie się go bali, ale jak surowego ojca. Ja do nich nie należałem. Dyrektor lubił uczniów dobrych, inteligentnych i niezbyt pokornych, to jest wykazujących własną inicjatywę. (...) O ile pamiętam nikt, łącznie z Panem Dyrektorem Borysiem nie zabraniał chodzić do Kościoła"*.

Trzecim, piastującym funkcję dyrektora był mgr inż. **Ferdynand Poręba**. Swoje stanowisko obejmował po przejściu dyr. Borysia na emeryturę, co nastąpiło w roku szkolnym 1980/81. Były to lata przemian na Wybrzeżu, czas powstania Solidarności — która jak się później miało okazać wywarła niezaprzeczalny wpływ na najnowszą historię Polski. Dyrektor Poręba włodarzył szkołą przez okres 11 lat.

Były to trudne lata w historii szkoły rolniczej w Marcinkowicach, szczególnie

mając na uwadze lata stanu wojennego. To było też powodem częstych wizytacji z kuratorium (częściej niż kiedy indziej), zwłaszcza podczas nauki przedmiotów humanistycznych. W roku szkolnym 1983/84 nie powiodła się próba ponownego zawieszenia krzyży. Dyrekcja ciągle przypominała o świeckim charakterze szkoły.

Podczas dyrektury Poręby, Zespół Szkół Rolniczych obchodził jubileusz 40–lecia swego istnienia. Działo się to w roku szkolnym 1985/86. Huczny jubileusz obchodzono w dniach 27–28 czerwca 1986 roku. Wówczas to nadano szkole imię obecnego patrona: Władysława Orkana. W tym samym okresie szkoła otrzymała resortowe odznaczenia: Złotą Odznakę „Za zasługi dla Woj. Nowosądeckiego", Odznakę „Za zasługi dla ZBoWiD–u", Odznakę Złotą Honorową „Za zasługi w rozwijaniu ruchu młodzieżowego na wsi".

Po okresie wielkiego przełomu i burzliwych wydarzeń, Ferdynand Poręba odchodzi na emeryturę. Nastały nowe czasy, pojawiły się nowe problemy. Nikt z ówczesnego grona nauczycielskiego nie wyraził chęci kandydowania na wakujące stanowisko, dlatego też w sądeckiej regionalnej prasie pojawiają się anonsy o konkursie na nowego włodarza marcinkowieckiej wszechnicy.

Konkurs wygrywa mgr inż. **Danuta Wyczałek** piastująca fotel dyrektorski tylko przez okres jednego roku szkolnego: 1991/92. W tym czasie przez cały kraj przeżywa gwałtowne zmiany ekonomiczne, nic zatem dziwnego, że pieniędzy brakuje nie tylko na nowe pomoce naukowo–dydaktyczne, ale również na wypłaty bieżące dla nauczycieli. Na początku drugiego kwartału 1992 roku otwarto w szkole pracownię komputerową — co w jednym momencie znacznie podniosło prestiż rolniczego gimnazjum.

Obecnym i zarazem szóstym w historii, dyrektorem Zespołu Szkół Rolniczych im. Władysława Orkana jest inż. **Władysław Gruca**, piastujący funkcję kierownika Wydziału Zaocznego w tymże zespole szkół. Włodarzenie szkołą pod batutą dyr. Grucy zaczęło się w roku szkolnym 1992/93.

Zespół Szkół Rolniczych na marcinkowieckich włościach, wzbogaca się o kolejne nowoczesno–modernistyczne pracownie (biurowości, PNZ, przedmiotów zawodowych, języka angielskiego). Władysław Gruca dba o wygląd otoczenia szkoły (co zwłaszcza widać na wiosnę) i za to mu chwała! Równocześnie przeprowadza bieżące remonty i ulepszenia warunków bytowo–socjalnych. W okresie wakacji i ferii zimowych, ZSR w Marcinkowicach wynajmuje internat na kolonie czy inne formy zorganizowanego wypoczynku. To także jest pewien sposób uzyskania dochodu z najmu, a pieniądze uzyskane w ten sposób przeznacza się na bieżące potrzeby — których nie brakuje.

W XXI wiek szkołę w Marcinkowicach wprowadza dyr. Gruca. Gdy patrzy się

wstecz na dokonania obecnego dyrektora i zespołu, z którym pracuje, chciałoby się rzec: oby tak dalej! Historia, zapewne nie zapomni o dyr. Grucy. Zapewne nie zapomną też Ci, których uczył. Nauka nie poszła w las…

O tych, którzy odeszli…

Nie sposób wspomnieć, o tych wszystkich, którzy odeszli od nas, mających związek z Zespołem Szkół Rolniczych w Marcinkowicach. Nie sposób wymienić wszystkich pedagogów wpisanych w 52–letnią historię wszechnicy. Wyrazem pamięci o nich, wyrazem zadośćuczynienia, niech będzie wiersz absolwentki Technikum Rachunkowości Rolnej z roku 1975 — Wandy Łomnickiej–Dulak — poetki z Piwnicznej.

Pamięci zmarłych Profesorów

w zakolach mej pamięci
wciąż się uśmiechacie
choć
na chłodnych kamieniach
bledną fotografie
spojrzenia takie jasne
i tyle w nich blasku
jakby nie było rozstań gryzącego piasku
jakby nie było
ścieżki długiej niepowrotnej
pracowitej dojrzałości
starości samotnej
za Wasze wielkie serca
— spokój wiekuisty
za poświęcenie, wiedzę
różaniec modlitwy
w moich oczach płonie
znicz — gwiazda wzruszenia
w zakolach pamięci
ocalam wspomnienia

Pałac w marcinkowicach — obecnie muzeum

Muzeum

Tym wszystkim P. T. Czytelnikom *„Almanachu Sądeckiego"*, którzy chcieliby na własne oczy „zobaczyć" 52–letnią historię Zespołu Szkół Rolniczych w Marcinkowicach, polecamy wizytę w Szkolnym Muzeum Historycznym przy Zespole Szkół Rolniczych im. Władysława Orkana.

W 4 salach zgromadzono zbiory poświęcone Marcinkowicom i integralnej części tej miejscowości — szkole rolniczej. Oczywiście, nie brakuje materiałów piśmiennych i innych eksponatów, poświęconych dwukrotnej wizycie Józefa Piłsudskiego i historii urosłej już do rangi anegdoty o „szklance mleka" (ale to temat na inne opracowanie).

Szczególnej uwadze polecam dział „Nasza Szkoła", w którym przedstawiono rolniczą oświatę począwszy od XIX wieku do czasów nam współczesnych. Możemy zobaczyć kroniki szkolne, pierwsze dzienniki lekcyjne, liczne listy, medale, prace domowe uczniów, puchary sportowe i publikacje nauczycieli związanych ze szkołą.

Ponadto zgromadzono dużą ilość fotografii przedstawiających poszczególne fazy budowy szkoły. Na innych zdjęciach możemy zobaczyć uroczystości jakie miały miejsce w szkole. Po muzeum oprowadza emerytowany nauczyciel języka polskiego Józef Gościej odznaczony już w roku 1987 nagrodą Wojewody Nowosądeckiego w dzie-

dzinie muzealnictwa.

P. S. W tym miejscu pragnę podziękować za pomoc ze strony profesora J. Gościeja — który udostępnił mi archiwalne materiały, na kanwie których powstało niniejsze opracowanie. Bez pomocy Pana Gościeja ten materiał nie ujrzałby światła dziennego.

Aneks

Wykaz szkół działających przy Zespole Szkół Rolniczych im. Władysława Orkana w Marcinkowicach w latach 1946–1997.

dział A: szkoły średnie

Powiatowe Żeńskie Gimnazjum Gospodarstwa Wiejskiego
Państwowe Liceum Rolniczo–Gospodarcze
Technikum Rachunkowości Rolnej
Liceum Ekonomiczne o specj.: ekonomika i rachunkowość przedsiębiorstw rolnych
Technikum Mechanizacji Rolnictwa
Technikum Ochrony Roślin
Technikum Rolnicze (działa do dziś)

dział B: studia policealne

Policealne Studium Rachunkowości Rolnej
Policealne Studium Ochrony Roślin
Policealne Studium Zawodowe o specj.: ekonomika i rachunkowość przedsiębiorstw rolnych (działa do dziś)

dział C: szkoły zasadnicze

Szkoła Rolniczo Gospodarcza
Zasadnicza Szkoła Rachunkowości Rolnej
Zasadnicza Szkoła Rolnicza
Zasadnicza Szkoła Zawodowa

dział D: szkoły dla pracujących — Wydział Kształcenia Korespondencyjnego — (późniejszy i obecny) Wydział Zaoczny

Technikum Rachunkowości Rolnej

Technikum Rolnicze (dla pracowników administracji rolnej)

Zaoczne Liceum Ekonomiczne o specj.: rachunkowość i rynek rolny (pierwsi uczniowie tej szkoły maturę będą pisać w 1998 roku)

Na przestrzeni lat 1946–1997 mury szkoły opuściło 6.747 uczniów.

Wincenty Gawron

SZKICE O LUDZIACH Z SOWLIN LIMANOWSKICH

Teren od końca ul. Widok, obok drogi do przysiółka Kącina, ostatnio parafii limanowskiej zaczęto oznaczać mianem — Sowliny Limanowskie. W niezbyt odległej przeszłości stały tu chaty pod słomianymi strzechami. O ludziach w nich żyjących zachowały się mgliste wspomnienia, które są przedmiotem niniejszego artykułu. Te postacie kolejno będą prezentowane według ogólnie znanych miejsc ich zamieszkania i pobliskich realności, a więc: „Pod górką", „Pod lasem", „Kącina", „Kurczabówka".

„Portret chłopa"

Trzeba jeszcze wyjaśnić, iż nazwa przysiółka „Kącina" w szerszym zakresie przyjęła się dopiero po II wojnie światowej. Wcześniej odnosiła się tylko do kilku ostatnich domów tam występujących, wówczas należących do rodziny Zelków, dwóch Molów i Czachurów. Oznacza terenowy zakątek, ustronne miejsce, przylegające do obszaru leśnego i przy siółka Mordarki, Sarczyna.

W pierwszym domu „Pod górką" mieszkali Franciszka i Józef Kunowie. On pracował w Rafinerii. Ubezpieczył się i z tego tytułu pobierał emeryturę. Był dość rozgarnięty. Odznaczał się fantaz-

ją. Gdy szedł, miał głowę zadartą i laską wywijał. Zmarł w 1946 r. w wieku 64 lat. Jego żona leżała przez 20 lat z powodu choroby nóg. Przeżyła 96 lat.

Syn Kunów, Józef, uczestniczył w kampanii wrześniowej 1939 r., a następnie został internowany w Rumunii. Po wojnie wrócił do kraju, przywiózł sobie żonę Rumunkę. Zamieszkał w Nowym Sączu, gdzie pracował w PKS–ie. Był bardzo towarzyski.

Zięć Józefa Kuny, Józef Kita (1902–1976), pochodził z Kisielówki. Do Sowlin przyszedł w 1941 r. Za niskie wynagrodzenie lub na odrobek swoimi końmi sąsiadom obrabiał pola i w całej okolicy woził materiały na budowę domów. Gdy robił mu ktoś pół dnia, on też robił końmi pół dnia. Miał chorowitą żonę, która zmarła w 1966 r., licząc 66 lat.

Drugi dom „Pod górką" w XIX w. stanowił własność Wojciecha Jeża, który ożenił się z Katarzyną Mamak. Ich potomstwem byli: Marcin, Agata, Józefa, Rozalia, Marianna, Julia i Józef. Julia pozostała na ojcowiźnie. Z nią ożenił się Marcin Bieda ze Bzdyczki (stąd, gdzie mieszkał Zygmunt Wojtas). Z tego małżeństwa był syn Stanisław oraz córka Agata (obydwoje wyjechali do USA) i Maria (1885–1962). Ta dwukrotnie wychodziła za mąż za Michała Sowę urodzonego w Lipnicy i Jana Biedę ze Bzdyczki (brata Franciszka), zmarłego w 1921 r. z powodu ran odniesionych na wojnie. Z pierwszym z nich miała córkę Weronikę (zmarła na hiszpankę w 18. roku życia) oraz synów: Zygmunta i Leona (1908–1977), a z drugim: Kazimierza, Władysława (1914–1976) i córkę Marię.

Zygmunt wyuczył się kowalstwa u Franciszka Króla w Limanowej. Brał udział w kampanii wrześniowej. Był specjalistą od podkuwania koni. Miał dużą pasiekę. Odziedziczył gospodarstwo. Około 1970 r. sprzedał je Józefowi Liskowi ze Słopnic, a kupił willę po Bocheńskich w Limanowej przy ul. Kościuszki.

Kazimierz ukończył Szkołę Kadetów we Lwowie. Podczas kampanii wrześniowej 1939 r. był ciężko ranny i przez kilka miesięcy leżał w szpitalu w Toruniu. Gdy odzyskał zdrowie, został wywieziony do oflagu, gdzie studiował ekonomię, tu wykładaną za zgodą władz niemieckich. Ten obóz w 1945 r. oswobodzili żołnierze amerykańscy. W obawie przed represjami Kazimierz nie powrócił „na ojczyzny łono", ale wyjechał do Anglii, gdzie szybko opanował tamtejszy język i uzupełnił studia. Później przeniósł się do dominium brytyjskiego — Nowej Zelandii i tu został profesorem uniwersytetu. W latach sześćdziesiątych dwukrotnie odwiedził Polskę, ale w niej źle się czuł i nie zdecydował pozostać, bo w Nowej Zelandii już się przyzwyczaił do odmiennego klimatu.

Jego brat, Władysław, ukończył gimnazjum w Nowym Sączu. Zaocznie studiował prawo. Pracował u notariusza w Limanowej. Do ludzi grzecznie się odnosił. Gdy

szedł z kościoła, z chłopami rozmawiał. Był więźniem obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu i przez dwie kadencje rektorem Akademii Ekonomicznej w Krakowie.

Maria zaczęła naukę w gimnazjum w Nowym Sączu. Podczas okupacji brała udział w tajnym nauczaniu w okolicach Ujanowic, gdzie chodziła przez lasy. Także ukończyła studia wyższe i dziś mieszka na Górnym Śląsku.

Około 1930 r. ze Starej Wsi do Sowlin sprowadził się Jakub Pałka z żoną Rozalią. Kupili pole od rodziny Kądziołków, zwanych Załawnimi. Wybudowali sobie dom. Jakub był samoukiem cieślą i stolarzem. Dawniej budował domy z drzewa, a gdy zaczęto stawiać domy murowane, budował ich dachy, m. im. przy ul. Słonecznej u państwa Bednarczyków i K. Sułkowskiego. Potem robił drzwi i okna do nowych domów. W tym się wyspecjalizował. Był mądry. Pałkowie cały swój majątek podarowali rodzinie siostrzenicy Czesławy Kapturkiewicz.

Starą chatę po Kądziołkach–Załawnich wynajmowała była ich służąca, Karolina Iwan (Domiter), matka Rozalii, Mariana, Michała i najmłodszego Kazimierza, który jako kilkuletnie dziecko utopił się w dole u sąsiada Jakuba Surdziela. Iwanka była tylko właścicielką kawałka lasu. Około 1960 r. z synem Michałem i jego rodziną wyjechała na Ziemie Zachodnie.

Z Agatą Słabowską związek małżeński zawarł Jan Twaróg ze Starej Wsi i oby dwoje zamieszkali przy drodze, w „Dolinie", przed Drożdżakami. Ich dzieci to: Jakub (wołano go Stanisław), Kunegunda (1910–1991), Rozalia i Stanisława. Twaróg zmarł, a później z wdową ożenił się Marcin Jeż, z nim miała syna Józefa (1914–1988) i córkę Anielę.

Mąż Rozalii, Wojciech Szewczyk, powodując się obwieszczeniami (w końcu powołań nie było), odprowadzony przez brata Franciszka, w ostatniej chwili w 1939 r. poszedł do Bochni na mobilizację i obydwaj bez śladu zaginęli. Przedtem radzili się wójta, a on im powiedział:

— *Pociągi nie idą, ale gościniec jest!*

Wojciech miał odbytą całą służbę wojskową, a Franciszek przedterminowo był zwolniony do cywila.

Na gospodarstwie po Twarogach pozostała ich córka Stanisława. Z nią ożenił się podoficer Stanisław Jasica z Mordarki. Był zaangażowany w „Strzelcu". Młodo zmarł w 1939 r., Stanisława później wyszła za Antoniego Chudego (1915–1974). Nie miała dzieci. Gdy zmarła, Chudy powtórnie się ożenił z Rozalią Jasica (1923–1991) z Majerza.

Dalej swoją posiadłość mieli Agata (1883–1963) i Jan (1882–1957) Drożdżakowie. Jan, syn Michała, wywodził się „Spod lasu" (obecnie w tym miejscu Marcin Bieda). Był na I wojnie światowej, pracował w Rafinerii. Za zaoszczędzone pieniądze

kupił kawałek pola i 2 morgi lasu od Dutków, którzy wyjeżdżali na Wschód. Dzieci miał 5–ro: Stanisława, Władysława, Józefa, Jana i Agatę.

Władysław był ranny na froncie we wrześniu 1939 r. i zmarł w październiku w szpitalu we Lwowie.

Józef (1919–1982) pozostał na gospodarstwie, a poza tym był dobrym stolarzem i działaczem Związku Młodzieży Wiejskiej „Wici". Również zajmował się handlem. Do spółki z Janem Ćwikiem na „Krzyżowej" (obecnie „Laskopol") prowadził sklep spożywczy. Żywo interesował się sprawami społecznymi. Miał bardzo pogodne usposobienie. Związek małżeński zawarł z księgową Stefanią Michorczyk z Dobrej.

Jan Drożdżak (1921–1986) najpierw jako ekspedient odbywał praktykę w Spółdzielni Rolniczo – Handlowej „Kosa". Przez parę miesięcy w 1939 r. pracował w Spółdzielni Rolniczo – Handlowej w Nowym Sączu. Za okupacji wrócił do „Kosy", a później po przejęciu tej spółdzielni przez PZGS w nim nadal bardzo sumiennie urzędował jako kierownik działu rolniczego. Był miłośnikiem spółdzielczości. Robił dobre zdjęcia. U ojca założył sad owocowy.

Drożdżaków łączyło bezpośrednie sąsiedztwo z Magdaleną (1884–1977) i Józefem (1876–1947) Zającami. Józef Zając był na I wojnie. Stracił pracę w Rafinerii, gdy tam przed 1930 r. zwalniano chłopów. Zającowie mieli 3 synów: Jana, Józefa i Walentego.

Jan (1905–1993) został na gospodarstwie. Wyuczył się kołodziejstwa u Józefa Zielińskiego w Limanowej. Robił wozy. Pracownię miał obok domu. Służbę wojskową odbywał przy saperach (pionierach). Umiał budować mosty. Był członkiem orkiestry „Echo Podhala". Po wojnie przez wiele lat pełnił funkcję radnego gminnego i członka Rady Nadzorczej Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska" w Limanowej.

Józefowi rodzice dali część pola „Pod górą" i tam gospodarował. Pracował w bednarni. Był na wojnie.

Walenty wyuczył się stolarstwa. W tym zawodzie jednak nie pracował. Ożenił się w okolicy Nowego Sącza. Przez kilka lat był zatrudniony jako sanitariusz w szpitalu w Nowym Sączu. Po wyzwoleniu wyjechał w okolice Kłodzka, gdzie gospodarzył.

Pod Bzdyczką na dzisiejszym terenie Sowlin zamieszkali: Dutkowie, Bulandowie, Sułkowscy i Pławeccy, którym z kolei poświęci się trochę uwagi.

Stary Jan Dutka owdowiał. Ożenił się drugi raz w Słopnicach. Po pierwszej żonie miał dzieci: Franciszka (1898–1974), Kunegundę, Annę, Marię; syn Paweł i prawdopodobnie córka wyjechali do Ameryki, po drugiej żonie: Katarzynę, Michała, Józefa i Barbarę. Oni mieszkali w izdebce, a w kuchni Franciszek i Anna. Katarzyna wyszła za mąż za Walentego Skrzekuta, sąsiada, z prowizorycznej chaty, w odległości kilkudziesięciu metrów skleconej z żerdek, na posiadłości Stanisława Sułkowskie-

go. W praktyce wszyscy musieli się gnieździć w kuchni, bo izbę zajmowała Maria, która była krawcową. Mieli tylko mórg pola.

Z powodu trudnych warunków życia druga żona Jana Dutki, zmarłego w 1932 r., z zięciem Walentym Skrzekutem oraz jego rodziną, Barbarą, Józefem i Michałem w 1935 r. wyjechali na tereny wschodnie, w okolice Lwowa, gdzie kupili kilka hektarów lasu, nie pola. Była to samosiejka, przeważnie rosły brzozy, które karczowali i używali na opał, a nawet sprzedawali do Lwowa.

Dzieci po pierwszej żonie: Anna, Franciszek, Kunegunda i Maria pozostali. Ten wyjazd zorganizował Michał, gdy miał 19 lat. Był to mądry człowiek i gorliwy ludowiec. Na uroczystości witosowskie 30 kwietnia 1933 r. do Wierzchosławic obszedł przez góry.

Dutkowie gospodarowali tak do 1940 r. Wtedy zostali wywiezieni na Sybir, aby pracować przy wyrębie lasu. Wywieziono wszystkich ludzi napływowych, a zasiedziałych od dziada pradziada pozostawiono.

Gdy formowała się armia Berlinga, zmobilizowano Józefa, Michała i Walentego Skrzekuta. Szli na zachód znad Oki. Józef i Walenty Skrzekut polegli na terenie Polski, w okolicy Warszawy, a Michał został ranny i w wyniku tego amputowano mu nogę. Później osiedlił się na zachodzie Polski, gdzie dostał pomieszania zmysłów. W tym stanie kilkakrotnie odwiedzał rodzinne strony.

Pozostali członkowie rodziny wyginęli z nędzy i głodu, z wyjątkiem Katarzyny, żony Walentego Skrzekuta z dwojgiem dzieci. Po wojnie wyjechała na Ziemie Odzyskane.

Franciszek do drugiej wojny światowej mieszkał w Sowlinach, w rodzinnym domu. W sierpniu 1939 r. kuzyn Stanisław Dutka (1902–1972) przed odejściem na wojnę poprosił go, aby pod jego nieobecność pomógł jego siostrom w prowadzeniu gospodarstwa. Franciszek skorzystał z tej oferty, osiedlił się w Mordarce i przebywał tam do końca życia. Po powrocie Stanisława do domu w 1945 r. obydwaj wykonywali wszelkie prace w gospodarstwie.

Franciszek Dutka miał niski wzrost oraz pełną wdzięku i poczciwości fizjonomię. Z własnej inicjatywy sportretował go artysta malarz Tadeusz Ociepka.

W starości udało mu się zdobyć wielkiego sympatyka. Sprawił to następujący przypadek. Do Urzędu Pocztowego w Limanowej dotarł list z Ameryki na nazwisko Franciszek Dutka, ale bez dokładnego adresu. Doręczono go Franciszkowi Dutce, byłemu pracownikowi Zasadniczej Szkoły Zawodowej, zamieszkałemu w Limanowej przy ul. Kilińskiego, pochodzącemu z „Moczarek". Ten, zapoznawszy się z tym listem, uznał, że jest przeznaczony dla innego Franciszka Dutki, którego wnet znalazł w osobie Franciszka Dutki z „Działu" w Mordarce (obecnie teren Limanowej). Odtąd

z nim utrzymywał bliski kontakt. Po jego śmierci bezinteresownie na cmentarzu parafialnym ułał mu skromny, ale trwały nagrobek, ze zwykłego betonu.

Dutkowie przed wyjazdem na Wschód swój mórg pola w „Dolinie" sprzedali Zygmuntowi Sowie, a 2 morgi lasu Janowi Drożdżakowi.

Dziś o Dutkach, których ponad pół wieku temu spotkał tak gorzki los, w Sowlinach już prawie nikt nie pamięta.

Stanisław Sułkowski (1864–1948) pochodził z Jabłońca. Owdowiał. Za drugą żonę miał Rozalię (1887–1949), siostrę Jana Kurczaba z „Bani". Przed I wojną światową i podczas niej był w Ameryce, gdzie coś zarobił, ale to zjadła mu inflacja. Był tęgi. Trochę znał się na ciesiołce i dorywczo nią się zajmował. Jego potomkami są: Władysław, Mikołaj i Kazimierz.

Władysław (1923–1974) był na przymusowych robotach w Niemczech, a póź niej mieszkał w Nowym Sączu i pracował w warsztatach kolejowych.

Mikołaj został na gospodarstwie i potem wybił się jako mistrz murarski. Zajmował się obróbką kamienia. Prowadził budowy wielu domów. Większość domów w okolicy Limanowej to jest jego dzieło. Robił dość dokładnie i szybko. Nie patrzył, by mu ktoś stawiał wódkę.

Kazimierz najpierw był ekspedientem w „Kosie", od 1950 r. kierownikiem sklepu PZGS–u, a na ostatku magazynierem.

Jan Bulanda (1890–1966) pochodził z Lipowego. W Sowlinach ożenił się z Rozalią Leśniak (1891–1979). Miał pochyloną sylwetkę. Sprawiał wrażenie głuchego, ale w rzeczywistości co chciał, to słyszał. Był nieco opieszały. Przez krótki czas pracował w Rafinerii. W okresie okupacji jeździł do kopania okopów w Marcinkowicach koło Nowego Sącza, a na ostatku rozbudował stację kolejową w Dobrej. W połowie stycznia 1945 r. tam jeszcze pojechał do pracy. Wówczas nagle pociągi przestały kursować i on musiał do domu powracać na piechotę, idąc pod prąd, w stosunku do gwałtownie przemieszczających się wojsk, co budziło obustronne niezadowolenie.

Żona Jana Bulandy często wynajmowała się mieszczanom limanowskim do prania i sprzątania. Bywała też kucharką na weselach. Wyrabiała dużo serów, które sprzedawała i nimi rewanżowała się ludziom za wyświadczone przysługi. Po 1970 r. swoje gospodarstwo za śmiesznie niską cenę 50.000 zł sprzedała Józefowi Liskowi za Słopnic.

Maria i Józef Pławeccy przyszli z Młynnego. Mieli posiadłość tu, gdzie był Błażej Łącki. Tam sprzedali ziemię, a w Sowlinach kupili dawną leśniczówkę. Stary Pławecki przed I wojną pojechał do Ameryki, a później o nim słuch zaginął. Ich dzieci to: Mikołaj, Aniela, Walenty, Julia i Waleria.

Najstarszy Mikołaj (starszy od Piotra Biedy) uczył się kowalstwa u Franciszka Króla w Limanowej. Wybudował sobie kuźnię i w niej świadczył usługi. Około 1930 r. wyjechał do Francji. Miał jednego syna.

Walenty (1909–1986), dobry fachowiec jako kowal samouk (przyuczył się przy bracie Mikołaju) i kamieniarz. Umiał doskonale hartować ostrza narzędzi. Obrobił kamienie na wiele domów, budował nagrobki na cmentarzach. Wykorzystywał kamieniołom u Piotra Zelka przy ul. Słonecznej i na Bzdyczce. Pracował w kamieniołomach, m. in. u Michała Twaroga „Międzygórkami", w Mszanie Dolnej, w Barcicach. Przed wojną wyjeżdżał w okolice Radomia, gdzie karczował kamień tzw. narzutowy, który cięto i obrabiano na kostkę. Był niezwykle pracowity. W niedzielne popołudnia grywał na harmonii. Ożenił się z Rozalią Sroką (1908–1990) z Koszar. Z nią miał dwie córki: Marię i Ewę.

Gospodarstwo po Pławeckich odziedziczyła ich córka Maria i sprzedała je Michalikowi z Myślenic. Dom po nich spłonął w nocy z 11 na 12 listopada 1996 r.

Julia Pławecka wyszła za kowala Jana Czaję, a Waleria za Walentego Biedę za Starej Wsi.

„Pod lasem" byli dwaj bracia Drożdżakowie: Michał i Marcin. Michał miał dwoje dzieci: Jana i Marię. O Janie już poprzednio było wspomniane. Z jego siostrą Marią (1872–1945) ożenił się Jan Czaja z Kąciny, zwany „Szmidką". Jako inwalida wojenny do 1934 r. pobierał niewielką rentę. Pracował w Rafinerii. Był murarzem (mularzem). Zmarł w 1943 r. Jego dzieci to: Anna, Jan, Stanisław, Franciszek, Zofia, Władysław, Maria.

Anna (1904–1951) wyszła za Jakuba Kurczaba (1904–1979) z „Jasicówki" nad stacją kolejową w Limanowej.

Jan (1906–1980) był kowalem, uczył się u Janczego w Porąbce (Mordarce, obecnie teren Limanowej). Kuźnię miał najpierw na „Wesołej", własność Waligóry z Młynnego. Przed samą wojną kupił realność z domem w Sowlinach przy szosie i później mógł tu uprawiać swoje rzemiosło.

Stanisław był kołodziejem, uczył się u Józefa Zielińskiego w Limanowej. Ożenił się z Rozalią Gryźniak z Rozdziela. Brał udział w kampanii wrześniowej 1939 r., dostał się do niewoli rosyjskiej. W trakcie wymiany jeńców między Niemcami a Związkiem Radzieckim był wymieniony i przejęty do niewoli niemieckiej. Pracował u bauera do 1942 r. Jego żona w Żegocinie zgodziła jakiegoś ochotnika i on pojechał na jego miejsce u bauera. Warsztat miał w kuchni. Z początkiem 1946 r. zaraził się tyfusem i zmarł. Z wdową po nim ożenił się Marcin Bieda ze Starej Wsi. Poprzednio był na przymusowych robotach w Niemczech.

Franciszek Czaja (1910–1942) pracował w kuźni przy bracie Janie. Mocno się

przeziębił i wnet zmarł na gruźlicę.

Zofia wyszła za Stanisława Porębę z Porąbki (obecnie teren Limanowej). Oboje wyjechali do Wielopola Skrzyńskiego, do wujka Stanisława Poręby, ks. Józefa Ślazyka, który był tam proboszczem i prowadzili mu gospodarstwo. Był to brat Porębiny i również wujek Stanisława Kurczaba z Sowlin. Przez działania wojenne w 1945 r. został upośledzony i wnet zmarł. Porębowie po nim coś odziedziczyli i pozostali w Wielopolu. Ich córka tam zginęła w pamiętnym pożarze kina.

Władysław Czaja, urodzony w 1915 r., odbywał służbę wojskową, gdy zaczęła się kampania wrześniowa 1939 r. Do niewoli nie został wzięty. Wrócił do domu. Był podoficerem (kapralem). Podczas wojny pracował w bazie paliw w Sowlinach. Ożenił się na „Dziale" (obecnie ul. Słoneczna), u Twarogów. Wzorowo prowadził gospodarstwo rolne.

Maria (z 1918 r.) od 1940 r. do końca wojny była na robotach w Niemczech. Wyszła za Jana Trelę ze Starej Wsi.

Marcin Drożdżak miał syna Józefa, którego dziećmi byli: Kunegunda, Rozalia, Maria, Katarzyna i Stanisław.

Kunegunda wyszła za Jana Krzaka z Męciny i zmarła w 1936 r. w wieku 32 lat. Krzak później ożenił się drugi raz. Córka Kunegundy, Janina wyszła za mąż za Piotra Garczyńskiego (1916–1950), stolarza z Koszar, b. żołnierza AK, mądrego człowieka. Zmarł na gruźlicę.

Rozalia chodziła po służbach. Była na robotach w Niemczech. Maria wyjechała do Łodzi, a po wojnie do Kanady.

Katarzyna przed wojną służyła, m. in. w Lipowem u Józefa Struga lub jego zięcia, Józefa Mamaka. Przebywała w obozie koncentracyjnym i na tej podstawie otrzymała rentę. Zmarła w 1996 r. jako pensjonariuszka Domu Pomocy Społecznej.

Stanisław (1915–1979) musiał ciężko się dorabiać. Stawiał budynki. Był woźnym w Liceum Pedagogicznym. Do pracy jeździł na rowerze. Wracając stamtąd, zwykle w teczce wiózł bochenki chleba dla swej rodziny. Wychował czworo dzieci.

Przyrodni brat Stanisława i jego rodzeństwa, Józef, który nacierpiał się głodu, jako podrostek na ochotnika w 1940 r. wyjechał na roboty do Niemiec, gdzie się ożenił. Później osiedlił się w Australii. Podczas podróży do tego egzotycznego kraju na statku zmarło mu dziecko. Po wielu latach do rodziny w Sowlinach przysłał zdjęcie, na którym występował z córkami, już dorosłymi, urodziwymi pannami. Zginął w wypadku — zatruł się przy aucie.

W przysiółku „Kącina" zamieszkiwali: Zelkowie, Czachurowie, Molowie, Wacławikowie, Czajowie, Tomasikowie.

Józef Zelek pochodził z Jaworznej. Owdowiał. Miał dwie córki z pierwszego mał-

żeństwa. Później ożenił się drugi raz z Agatą Golonką. Był na I wojnie światowej. Z tej racji pobierał rentę inwalidzką. Zmarł w 1937 r. Miał niewielką gospodarkę i pozostał na niej syn Marian. Gdy zmarł w 1978 r., wdowa po nim tę gospodarkę sprzedała i przeniosła się do miasta.

Marcin Czachura gospodarzył. Miał kilkoro dzieci. Przez jakiś czas pracował w Rafinerii. Zmarł w 1953 r. Na części jego gospodarstwa jest wnuczka Teresa Papież.

Walenty Czachura, syn Marcina, przejął większą część gospodarstwa. Był na wojnie polsko-bolszewickiej. Zmarł młodo w 1940 r. Po nim gospodarzy syn Stanisław.

Walenty Mól był ze Sarczyna (z „Ostrego"). Wychował się u Józefa Czaji. Ożenił się z siostrą Antoniego Mola. Zmarł młodo w 1946 r. Po nim małe gospodarstwo przejął syn Józef, człowiek bardzo pracowity.

Antoni Mól, miejscowy człowiek, za żonę miał Marię Gryźniak z Rozdziela. Był na I wojnie światowej i w niewoli rosyjskiej, gdzie chorował na tyfus i leżał już między nieboszczykami. Przed 1930 r. wyjechał do Francji, gdzie pracował w kopalni, węgiel fedrował nawet w lochach o wysokości 40 cm, na leżąco. Około 1950 r. wrócił do Polski i jeszcze przez rok pracował w kopalni na Śląsku. Miał dwie córki i jednego syna. Zmarł około 1976 r.

Franciszek Wacławik około 1925 r. przyszedł do Sowlin z Mszany Dolnej. Był stolarzem. Jego żona Zofia pochodziła z Łososiny Górnej. Była wychowawcą Józefa Czaji. Miała trzy córki i syna: Marię (1926–1991), Michalinę, Władysława i Zofię. Michalina wyszła za Jakuba Bugajskiego (1926–1993) ze Starej Wsi, najstarsza Maria za Jana Wacławika z Mszany Dolnej i została na gospodarstwie. Obecnie prawie cała rodzina Wacławików przebywa w USA.

Józef Czaja, rodowity kącinianin, był majstrem murarskim. Trochę prowadził firmę. Brał budowy kamienic w Limanowej, m. in. Żydowi zbudował kamienicę przy ul. Jana Pawła II 32, w której mieściła się składnica harcerska. Nie miał dzieci. Owdowiał i ożenił się z Julią Król (1912–1996) z Siekierczynej. Był właścicielem dużego gospodarstwa. Chował parę koni. Uczestniczył w I wojnie światowej, służąc w formacjach wartowniczych. Zmarł w 1950 r.

Antoni Czaja ożenił się z Zofią Oleksy z Lipowego. Był na I wojnie światowej. Zajmował się murarstwem. Do roboty chodził z Józefem Czają. Miał 12 dzieci. Zmarł w 1979 r., a jego żona w 1994 r.

Władysław Czaja, urodzony ok. 1900 r., za żonę miał Zofię Kapitan z Koszar. Brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej. Był synem Wojciecha Czaji, brata Józefa, u którego się wychowywał. Od niego otrzymał trochę gruntu i na nim wybudował sobie dom. Przed wojną najpierw pracował w Rafinerii i w Lubniu przy budowie szosy zakopiańskiej. Za okupacji, dopóki była garbarnia w Sowlinach, to w niej praco-

wał. Później przeniósł się do Podhalańskiej Spółdzielni Owocarsko–Warzywniczej w Tymbarku. Skończył w PZGS–ie jako palacz centralnego ogrzewania. Miał dwóch synów: Jana i Władysława. Jan pozostał na realności.

Ojciec Jakuba Tomasika pochodził ze Sarczyna. Ożenił się z siostrą Jędrzeja Czaji, urzędnika Sądu Grodzkiego w Limanowej. Wyjechał do USA i tam pozostał do końca życia.

Jakub Tomasik (1902–1971) w 1933 r. ożenił się z Anną Dutka (1902–1970) z Mordarki. Miał z nią dwóch synów. Małą realność dostał po matce. Brał udział w kampanii wrześniowej 1939 r. Od czasu okupacji przez długie 20 lat pracował w Podhalańskiej Spółdzielni Owocarsko–Warzywniczej w Tymbarku. W okresie okupacji na piechotę chodził tam obok torów kolejowych, w butach z drewnianymi podeszwami (drewniakach).

Jan Kurczab był właścicielem 40–morgowego gospodarstwa. Po nim zostało pięciu synów. Z tych Jan (1878–1929) ożenił się u Golińskich w Sowlinach, Wojciech w Tymbarku, a jeszcze jeden w Męcinie.

Kurczabówkę po połowie odziedziczyli: Antoni i Walenty. Antoni wybudował piękną, gazdowską chatę, krytą czerwoną dachówką. W czasie I wojny światowej zginął na włoskim froncie. Z tej racji wdowa po nim miała rentę, skutkiem czego w dostatku żył jej jedyny syn Stanisław (1899–1959). Ożenił się z Anną Król (1899–1987) z „Roli". Z nią miał czworo dzieci: Władysława (1923–1970), Kazimierza, Annę (1926–1989) i Janinę. Władysław przejął gospodarstwo. Zabił się na Załpie. Żerdź mocno uderzyła go w głowę i to spowodowało jego śmierć.

Walenty Kurczab był na I wojnie. Wzięto go do pędzenia bydła. Ożenił się z Marią Gawor, siostrą ks. Józefa Gawora (1869–1943). Z tego małżeństwa pozostało czworo dzieci: Maria, Zofia, Jan, Józef. Maria wyszła za mąż za kolejarza Piotra Zbosia z Pisarzowej. Z Zofią (1905–1986) ożenił się Józef Ciuła, właściciel dużego gospodarstwa rolnego w Pisarzowej. Józef Kurczab, będąc delikatnego zdrowia silnie się przeziębił i jako kawaler zmarł w 1924 r.

Jan Kurczab (1900–1936) był na wojnie polsko–bolszewickiej. Pracował w Rafinerii. Ożenił się za Stefanią Skrzekut. Z nią miał pięcioro dzieci: Antoniego, Józefa, Franciszka (1928–1996), Zygmunta i Annę. Zmarł na gruźlicę. Jego synowie: Antoni i Józef ochotniczo wyjechali na roboty w Niemczech.

Gdy pierwsza żona Walentego Kurczaba zmarła, ożenił się on z Katarzyną Dębską (1888–1971) z „Gaika" na Starej Wsi. Ich dzieci to: Andrzej, Rozalia, Kunegunda oraz Adam i Anna, którzy zmarli w wieku kilkunastu lat.

Andrzej ożenił się z Marią Zięba, pochodzącą zza Gorlic. Jako żołnierz w 1939 r. dostał się do niewoli, a żona za nim pojechała do Niemiec, gdzie obydwoje pracowa-

li u bauera. Tam im urodziły się córki: Barbara i Maria. Wrócili do Polski w 1948 r.

Z córką Walentego Kurczaba (zmarł w 1940 r.), Kunegundą, która pozostała w rodzinnym domu, ożenił się Szczepan Twaróg (1910–1993), kamieniarz. Około 1970 r. do roboty jeździł nawet w kieleckie, gdzie remontował budynki przykościelne. Owdowiały w 1952 r. Ożenił się powtórnie w Słopnicach.

Byli Kurczabowie podwójni. Za pańszczyzny nie można było dzielić gospodarstw. Otrzymał je ojciec Antoniego i Walentego, a inni pozostali komornikami. Mieli tylko po kilka zagonów pola. Z tych pochodzili: Zofia Kurczab, Maria Kurczab, Jan Kurczab — „Kaziak" (dalsza rodzina Walentego).

Zofia Kurczab (1882–1949), krawcowa, miała pierwszego męża Jana Czaję (1881–1918), brata Józefa z Kąciny. Zmarł z powodu ran odniesionych na wojnie. Ci Czajowie mieli troje dzieci: Józefa, Urszulę, Kazimierza. Józef (1911–1966) był z zawodu stolarzem. Później pracował jako magazynier w Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska". Ożenił się z Kunegundą Twaróg z „Doliny". Urszula początkowo pracowała w „Kosie", a potem wyjechała do Krakowa. Kazimierz (1913–1984) skończył Seminarium Nauczycielskie w Starym Sączu, był kierownikiem szkoły w Wysokiem, Mszanie Dolnej i Nowym Targu.

Z kolei ich matka wyszła za mąż za Jana Wronę (1887–1964) ze Sarczyna. Był na I wojnie i w niewoli rosyjskiej, razem z nauczycielami limanowskimi: Franciszkiem Bogaczem i Władysławem Ołesiem. Pracował u Tomasza Biela przy wyrobie dachówki cementowej. Miał dwóch synów: Michała i Ludwika.

Michał odbył praktykę kupiecką w Krakowie. Początkowo prowadził handel obnośny na jarmarkach, później sklepik u Kaimów, gdzie obecnie jest zakład fotograficzny Zygmunta Kupca. Po likwidacji handlu prywatnego w 1950 r. Michał Wrona był wybitnym kierownikiem restauracji „Myśliwska", działaczem związków zawodowych i Klubu Sportowego „Limanovia", kilka kadencji przewodniczącym Komitetu Osiedlowego i radnym miejskim. Część swoich dochodów przeznaczał na cele społeczne. Dzięki jego energicznym staraniom do Kąciny została wybudowana droga o nawierzchni asfaltowej.

Ostatnio wzorowo zagospodarował ojcowiznę i zakupioną realność po ciotce Gawinowej, budując dwa pensjonaty dla siebie i siostrzeńca z Krakowa. Obok nich założył duży, nowoczesny sad owocowy i plantację truskawek. Majątkiem trochę podzielił się z bliską rodziną. Obecnie zajmuje się handlem prywatnym i prowadzi hotel turystyczny. Swoim krewnym i znajomym z Sowlin okazuje wielką sympatię.

Ludwik Wrona (1928–1994) najpierw pracował jako ekspedient w sklepie swego brata Michała, a później był kierownikiem restauracji przy ul. Józefa Marka.

Maria Gawin, siostra Zofii Wronowej z Kurczabów była bardzo biedna. Miała

córkę Elżbietę, która wyszła za mąż za Tadeusza Sułkowskiego z Lipowego. Podczas wojny służył w marynarce, pływał z alianckimi konwojami zaopatrzeniowymi. Był na Dalekim Wschodzie, w Chinach. Umiał grać na skrzypcach, czym popisywał się na wiejskich zabawach i podczas kolęd. Swoje 30 arów pola Sułkowscy sprzedali Michałowi Wronie. Mieli troje dzieci.

Jan Kurczab — „Kaziak" był ojcem Walentego (1904–1950). Ten w szkole bardzo dobrze się uczył. Jako szofer i dobry mechanik samochodowy przed wojną był zatrudniony u jednego z właścicieli autobusów: Jana Jońca lub Franciszka Tomaszka. Ożenił się z Józefą Sową. Z nią miał czworo dzieci. Na realności po nim został jego syn Adam, który posiadał duży talent plastyczny.

Jakub Surdziel pochodził z Limanowej. Był szewcem. Mieszkał nad Janem Wroną, na skraju lasu. Pracował w Rafinerii, dokąd istniała. Później klepał buty i wynajmował się do robót polnych np. koszenia zboża. Gdy owdowiał, powtórnie się ożenił z wdową po Franciszku Skrzekucie z „Roli", a gdy ta zmarła, ożenił się jeszcze po raz trzeci i zamieszkał w sąsiedztwie Jakuba Pałki. Zmarł w 1946 r.

Z córką siostry pierwszej żony Jakuba Surdziela, Anny Janczy, Zofią, ożenił się Józef Dudziński (1909–1982). Pochodził z Pasierbca. Przy końcu wojny Kunowie go przygarnęli i był u nich jak na służbie. Później pracował w Magistracie. Wyrabiał brzozowe miotły i nosił je do miasta na sprzedaż. Miał 6 dzieci.

Kurczabowskie włości na przestrzeni około 1 kilometra są po północnej stronie potoku Skrudlak. Po przeciwnej stronie do nich należy tylko mała polanka przy moście. Podanie głosi, że ten skrawek ziemi w okresie wielkiego głodu Kurczabowie nabyli od rodziny Dutków, za miarkę grochu. To jest bardzo prawdopodobne. Przez długi czas na tej polanie pasło się bydło. Obecnie ona zamienia się w lasek liściasty.

Kazimierz Skrzekut (1863–1933) był murarzem, człowiekiem bardzo zapobiegliwym. Dokupił kawał pola i lasu, córki wianował. Anna (1911–1992) wyszła za Jana Zająca, Maria za Franciszka Pałkę ze Starej Wsi „Na pagórku" (obecnie teren Limanowej). Syn Józef (1901–1965) został na gospodarstwie. Uczestniczył w wojnie polsko–bolszewickiej. Był członkiem Rady Nadzorczej Spółdzielni Rolniczo – Handlowej „Kosa" i ponad rok sołtysem. Kiedy nie miał sił do pracy w gospodarstwie, sprzedał je, a kupił domek w Limanowej od Piotra Oleksego, w którym spędził dwa ostatnie lata swojego życia.

Wojciech Skrzekut (1909–1995) „Zza brzeziny", syn Wojciecha, który lubił grywać na klarnecie, ożenił się z córką sąsiada Walentego Kurczaba, Rozalią (1909–1973). Z nią miał pięcioro dzieci. Był członkiem orkiestry „Echo Podhala", grywał na skrzypcach i trąbce. Przed samą wojną pracował w składzie drzewa Jana Szewczyka z Lipowego. Był na wojnie 1939 r. i dostał się do niemieckiej niewoli. Jako

jeniec pracował w przemyśle. Tam uległ wypadkowi i został zwolniony przed końcem wojny. Później pracował w bednarni, skąd przeszedł na emeryturę. Gdy zmarła mu żona, przeniósł się do córki Zofii Wójcik w bloku spółdzielczym na Słonecznej. Czuł się tam źle, jak na pół w więzieniu. Uważał, że każdy powinien mieszkać we własnym domu.

Ludwik Czech pochodził z powiatu bocheńskiego. Do Sowlin sprowadził się około 1920 r. Ożenił się z Kunegundą Królówną z „Roli". Był inwalidą wojennym. Ktoś złośliwy w jego imieniu napisał do Związku Inwalidów, że zrzeka się renty, na skutek czego zaprzestano mu ją wypłacać. Gdy po wielu miesiącach sprawa się wyjaśniła, otrzymał znaczną kwotę wyrównawczą, za co w rodzinnych stronach kupił małą chatę, którą rozebrał, przewiózł i postawił w Sowlinach na posiadłości żony. Pracował w Rafinerii jako elektryk. Robił miotły i sprzedawał na jarmarku. Miał bardzo pogodne usposobienie i był niezwykle towarzyski.

Jan Bieda zwany „Magdziarzem", pochodził ze Starej Wsi. Miejsce jego realności wskazywano wyrażeniem przyimkowym: „W dołkach". Pracował przy budowie fabryki nawozów w Mościcach. Pożycie nie układało mu się dobrze i żona Magdalena z Kurczabów z pięciorgiem dzieci wyniosła się do Krakowa, gdzie sprzątała tramwaje i handlowała obwarzankami. Mąż samotnie gospodarował. Był sympatykiem ruchu ludowego. Do niego schodzili się bliscy znajomi np. zwany „Zuberem" Piotr Załubski z Porąbki i Michała Dutka, siedzieli i dyskutowali. Gdy pasł krowę, z nim politykowali. Miał dość duży sad, z którego jabłka nosił w kieszeni i rozdawał je dzieciom. Zmarł około 1950 r. Potem jego żona sprzedała gospodarstwo Stanisławowi Dębskiemu z „Gaika" w Starej Wsi, który na to przez 10 lat pracował przy wywózce drzewa w Bieszczadach. Do Sowlin sprowadzili się w 1957 r.

* * *

Niniejszy artykuł został opracowany na podstawie relacji Władysława Biedy z Sowlin (lat 78), z 12 i 14 listopada 1996 r., za co autor składa Mu gorące podziękowanie. Relacje te w 1989 i 1996 r. uzupełnili: Adam Kurczab, Józef Kurczab, Zygmunt Sowa, Kazimierz Sułkowski, Stefan Szewczyk i Zofia Wacławik.

Biblioteka Publiczna Gminy i Miasta w Nowym Sączu Oddział w Łącku

Bibliografia

Epitafia na cmentarzu parafialnym w Limanowej.
Wincenty Gawron: Ród Biedów w Sowlinach. Mps, 1989 s. 31.
Rocznik diecezji tarnowskiej na rok 1939.
Jan Sitowski: Wspomnienia limanowskie (1874–1920). Piotrków Trybunalski 1922 s. 16.

LISTY, OPINIE, POLEMIKI, RECENZJE

Irena Styczyńska

Słowo do artykułu „Właściciele dworu w Limanowej"

Czytając historię Limanowej w ostatnim *„Almanachu..."* [*„Almanach Sądecki"* nr 4(21) artykuł *Właściciele dworu w Limanowej*] natknęłam się na zdanie na str. 8 *„Lipscy i Trzeciescy były to znane rody sądeckie"*.

Otóż Lipscy, z których wywodziła się ksieni klasztoru starosądeckiego Anna Lipska — 1630, a jej krewni zarządzali majątkami konwentu (tablice na zewnętrznej ścianie klasztornego kościoła w Starym Sączu) — byli z Lipia. Pochodził z tego rodu starosta sądecki wprowadzony na starostwo w dniu koronacji Jana III Sobieskiego — jako towarzysz broni z Dzikich Pól.

Lipia [tego] należy szukać jednak koło Szczyrzyca, czy Góry św. Jana w limanowskim, a nie w sądeckim.

Maria Kowalska

Jeszcze o Lipskich i Trzecieskich

W opracowaniu „Właściciele dworu w Limanowej", zamieszczonym w *„Almanachu Sądeckim"* 1997 nr 4(21) napisałam, że Lipscy i Trzeciescy były to znane rody sądeckie. Tak stwierdził ks. Józef Joniec w *Historii parafii limanowskiej*, Limanowa 1953, opartej wyłącznie na źródłach historycznych. Od niego właśnie przyjęłam tę informację.

Henryk Stamirski w opracowaniu „Rozmieszczenie punktów osadniczych Sądecczyzny w czasie (do 1572) i w przestrzeni", zamieszczonym w *„Roczniku Sądeckim"* t. 6: 1965, zajął się również wsiami, należącymi do dawnego klucza limanowskiego, ponieważ figurowały w sądeckich rejestrach poborowych. Od 1772 r. (pierwszy rozbiór) Limanowa należała do Obwodu Sądeckiego, a dopiero w 1856 r. powstał powiat limanowski. Moje informacje o Lipskich i Trzecieskich dotyczą XVII

i XVIII w. kiedy wsie klucza limanowskiego należały do Sądecczyzny, a powiatu limanowskiego jeszcze nie było.

Znany historyk Henryk Barycz w publikacji „Stanisław Łempicki: Z pamiętnika sądeckiego", zamieszczonej w *„Roczniku Sądeckim"* t. 4: 1960, w rozdziale *„Zamierająca szlachta sądecka"* wymienił m. in. Jordanów, dawnych właścicieli Limanowej; Pieniążków–Odrowążów z Łososiny Górnej; Wielogłowskich i Głębockich z Mordarki; Trembeckich z Siekierczyny; Żuławskich z Szyku, Starego Rybia i Młynnego.

Skoro dwaj wymienieni historycy, pisząc o Sądecczyźnie, zajęli się również wsiami dawnego klucza limanowskiego i właścicielami limanowskich wsi, to ks. Joniec też nie popełnił błędu, pisząc o Lipskich i Trzecieskich, jako rodach sądeckich. Widocznie w źródłach historycznych, z których korzystał, również figurowały te rody jako sądeckie.

Jerzy Giza

Szanowna Redakcjo!

Bijąc się w pierś, proszę serdecznie o zamieszczenie sprostowania do mojego artykułu, który został opublikowany w *„Almanachu Sądeckim"* nr 3/1997 pt. *„Zapomnieni kawalerowie Orderu Virtuti Militari"*.

Sprostowanie dotyczy biogramu św. ppłk. JANA KASZTELOWICZA. Otóż, ufając tzw. literaturze przedmiotu napisałem, iż ww. oficer WP *„... poległ w Suminie koło Tarnawatki na północ od Tomaszowa Lubelskiego i pochowany został na cmentarzu w Zamościu..."*.

Napisałem tak na podstawie kilku publikacji historycznych m. in. Tadeusza Kryski–Karskiego *Straty korpusu oficerskiego 1939–1945* str. 554, Londyn 1996 i *Księgi pochowanych żołnierzy polskich poległych w II wojnie światowej* str. 314, Pruszków 1993, a także na podstawie wpisu w księdze pochowanych znajdującej się w Urzędzie Wojewódzkim w Zamościu. Wszystkie te informacje okazały się nieprawdziwe i wymagają poniższego sprostowania.

Na podstawie metryki zgonu oraz informacji uzyskanych od Pani Anny Kasztelowicz–Roszkowskiej i Pana Tomasza Kasztelowicza stwierdzam, iż **ppłk. WP Jan Kasztelowicz zmarł śmiercią naturalną 28 czerwca 1959 roku w Rabce i został pochowany na tamtejszym cmentarzu**.

Dzieciom ppłk. J. Kasztelowicza nie jest znany powód umieszczenia nazwiska ich śp. Ojca na liście poległych.

Piotr M. Boroń

Drogi Panie Redaktorze!

Bardzo wysoko sobie cenię poziom Pańskiego kwartalnika, zamieszczane w nim artykuły historyczne p. Jerzego Gizy.

Niemniej bezstronność i zwięzłość wypowiedzi ww. Autora — czasem może częściowo wypaczać prawdę, która jak diabeł tkwi w szczegółach, w kontekście i konsekwencjach „sucho" przytaczanych faktów.

Dlatego m. in. serdecznie proszę o zamieszczenie poniższych sprostowań i uzupełnień (a może i całego listu).

Na wstępie — z redaktorskiego obowiązku — muszę stwierdzić iż artykuł *„SĄDECZANIE W SEJMIE II RP RZECZYPOSPOLITEJ"* zamieszczony w ostatnim numerze *„Almanachu Sądeckiego"* winien być raczej zatytułowany: *„Sądeczanie w Sejmie II RP"* lub *„Sądeczanie w Sejmie II Rzeczypospolitej"*; to pewnie zwykła korektorska pomyłka.

Dalsze moje uwagi dotyczą jedynie szczegółów znajdującego się w nim biogramu śp. Jana Łobodzińskiego.

Tak się szczęśliwie — dla mnie — złożyło, że długo (jak na mój wiek) znałem osobiście śp. posła Jana Łobodzińskiego, człowieka wielkiej prawości, szlachetności, ideowości i intelektu. Dzieliły nas niemal dwa pokolenia, a również niektóre kwestie polityczne (już wtedy raczej „zaprzeszłe"), co było bez znaczenia, gdyż przede wszystkim obaj byliśmy szczerymi piłsudczykami.

Jak wielki posiadał autorytet wśród tych, którzy go znali niech świadczy choćby drobny fakt, iż nikt z nas nigdy nie zwracał się do Niego inaczej niż per PANIE POŚLE. Był w tych czasach, gdy mieliśmy posłów na sejm PRL w głębokiej pogardzie, uosobieniem posła Niepodległej Rzeczypospolitej i takim powinien pozostać w pamięci przyszłych pokoleń.

Pozostając z całym szacunkiem dla śp. Posła Łobodzińskiego (i Autora Jego biogramu) należy poprawić: nie był On fundatorem, lecz współfundatorem tablic legionowych w kościołach Krakowa, Nowego Sącza i Wieliczki.

Podobnie, podporucznikiem WP został mianowany nie przez Rząd, lecz Prezydenta RP na Uchodźstwie. Rozumiem jednak, iż nie jest to błąd Autora, ale zastosowanie dopuszczalnego w tego typu opracowaniach „skrótu myślowego".

Prawdą jest, iż był wiceprezesem Obywatelskiego Komitetu Opieki nad Kopcem Józefa Piłsudskiego (taka była wówczas pełna nazwa komitetu), ale równocześnie — co warto dodać — prezesem Okręgu Krakowskiego Związku Legionistów Polskich (półlegalnie wówczas działającego w PRL) i nie od 1980, a od końca stycznia 1983 r. aż do swojej śmierci.

Jako b. sekretarz kapituły Virtuti Civili czuję się w obowiązku sprostować, iż odznaczenie to (którym został uhonorowany p. Poseł Łobodziński) tylko z nazwy — błędnie wówczas zastosowanej — było „Orderem". Wedle powszechnie uznawanych norm jest ono de facto nie orderem, ale odznaką honorową (nb. pod koniec lat osiemdziesiątych niestety zupełnie zdeprecjonowaną i wręcz ośmieszaną przez niejakiego K. A. Waksmudzkiego, który bezprawnie zawładnął jej nadawaniem; co niestety trwa do dziś).

Faktem jest, iż p. Poseł Łobodziński (ale wraz z Kazimierzem Dagnanem — również sądeckim legionistą) złożył w wawelskiej katedrze sztandar Oddziału Nowosądeckiego Związku Legionistów Polskich; zachowany zresztą w bardzo dobrym stanie! Jednakże nie w skarbcu katedralnym, lecz jako votum przy konfesji św. Stanisława. Czyli w miejscu o wiele bardziej eksponowanym, a jako votum będące szczególnie chronioną świętą własnością Kościoła.

Autor artykułem eufemistycznie (choć faktycznie i historycznie słusznie) stwierdza, że sztandar ów obecnie znajduje się w „Muzeum Czynu Niepodległościowego" w Krakowie.

Czytelnik jednak ma prawo zadać sobie pytanie: jak się to stało?

Czyżby władze kościelne wyzbyły się tego votum, oddając je jakiemuś muzeum?

A jeśli tak, to dlaczego nie krakowskiemu Muzeum Katedralnemu?

Piszemy „Muzeum Czynu Niepodległościowego" nie bez racji w cudzysłowie, bo choć status muzeum, tej — delikatnie mówiąc — dziwnej instytucji, ok. 1990 r. nadała (w naiwności swojej) pewna pani Minister, to kilka lat temu, ktoś celnie je nazwał „archiwum cudzych zbiorów". Zanim sztandar ów do tego „muzeum" trafił, już w połowie lat osiemdziesiątych został z katedry „chwilowo wypożyczony" na uroczystość legionową. Gdy minął krótki termin zwrotu, „wypożyczający" i wszechwładnie decydujący o wszystkim w Związku Legionistów Polskich pierwszy zastępca komendanta naczelnego ZLP (wówczas niespełna 50–letni!) Krystian A. Waksmundzki stwierdził, że sztandar... wymaga gruntownej konserwacji. I co już mało śmieszne, jego „renowacja" trwa do dziś (kilkanaście lat!). Wobec czego nie może powrócić na Wawel. I choć nie widać na nim śladu zabiegów konserwatorskich, prezentuje się doskonale. Tyle tylko, że oglądać mogą go (jeszcze!) jedynie bardzo nieliczni wybrańcy po długich staraniach i stwierdzeniu (czy aby nie są zagrożeniem dla „powagi i bezpieczeństwa", jak choćby będący na „czarnej liście" — wśród wielu równie groźnych osób — pewien b. rektor UJ).

I pewnie byłoby to (poza aspektem moralnym i prawnym) niezbyt zabawną dykteryjką, gdyby nie fakt, iż bezprawne zawłaszczenie owego sztandaru stało się swoistym preludium do kolejnej afery Krystiana W.

W kilka lat później (w 1995 r.), już jako „komendant naczelny ZLP", w podobnym stylu wyłudził ze skarbca wotywnego Jasnej Góry buławę i szablę marszałka E. Śmigłego – Rydza. Te dary wotywne, do dziś również nie zostały zwrócone i co gorsze zostały ukryte. Proces karny w tej sprawie trwa już od ponad 2 lat!

A co ze zwrotem sztandaru sztandaru sądeckich legionistów? Wiadomo gdzie się znajduje i jeszcze, jeszcze nie został ukryty.

Redakcja

Errata do artykułu „Kapłan z charyzmą"

W poprzednim *„Almanachu..."* nr 4(21) w artykule Pana Józefa Bieńka pt. *„Kapłan z charyzmą"* zakradły się dwa błędy spowodowane awarią komputera.

Na str. 34, w czternastym wierszu od dołu, zniekształcone zostały dwa wyrazy, które powinny prawidłowo brzmieć: rzeczywiście „anormalny". Natomiast na str. 40 w trzynastym wierszu od góry wyeliminowane zostało z grona byłych uczennic Seminarium nazwisko Bronisławy Szczepańcówny.

Za błędy przepraszamy Autora artykułu i P.T. Czytelników.

SPIS TREŚCI

Ks. Bolesław Kumor
CHRYSTIANIZACJA DOLINY POPRADU DO KOŃCA XVI WIEKU 3

Irena Styczyńska
OSWOBODZENIE NOWEGO SĄCZA Z „POTOPU" SZWEDZKIEGO 14

Jerzy Giza
ORGANIZACJA „WOLNOŚĆ" W 20. GALICYJSKIM PUŁKU PIECHOTY 22

Władysława Lubasiowa
INTER ARMA 41

Andrzej Zarych
WIERSZE 51

Józef Bieniek
Z cyklu: Sądeczanie u Andersa
RÓD RACIĘSKICH CZ. I 57

Bolesław Łazarz
NOWY SĄCZ W FOTOGRAFII SPRZED PÓŁ WIEKU 79

Marcin Krakowski
MARCINKOWICKA WSZECHNICA 84

Wincenty Gawron
SZKICE O LUDZIACH Z SOWLIN LIMANOWSKICH 93

LISTY, OPINIE, POLEMIKI, RECENZJE 106

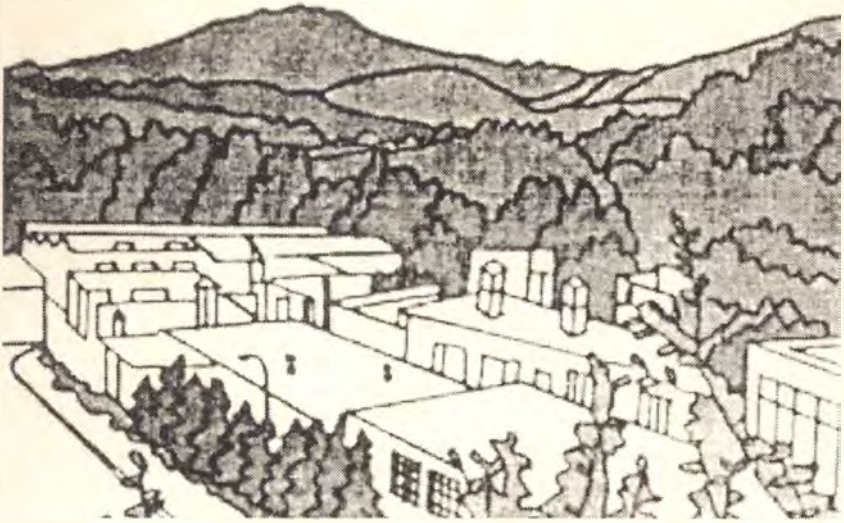

INCO - VERITAS **Sp. z o.o.** 0512007

ZAKŁAD PRODUKCJI ARTYKUŁÓW ŚCIERNYCH
34-630 MSZANA DOLNA, ul. Spadochroniarzy 8
POLAND
Telefon: (018) 33 10 328, 33 10 327
Telex: 0325305

Podstawowy asortyment produkcyjny Zakładu "INCO-VERITAS" w Mszanie Dolnej:

- **ściernice o spoiwie żywicznym**
- **krążki nasypowe incofibr**
- **pasy bezkońcowe**
- **taśmy i arkusze ścierne**

Zasadniczym wyrobem wśród ściernic o spoiwie żywicznym są tarcze ścierne, z elektrokorundu zwykłego i węglika krzemu, do cięcia metalu, betonu oraz fleksy.

W najbliższym numerze między innymi:

- **Herb Ziemi Sądeckiej**
- **Czy Dolinie Popradu zagraża neopogaństwo**